

Dwa niezapomniane opowiadania
autorki bestsellerowego *P.S. Kocham Cię!*



CECELIA
Ahnerm

Dziewczyna w lustrze

Świat Książki

Dla mojej wróżki chrzestnej, Sary Kelly

„Nie mam co próbować – odrzekła [Alicja] – nie można uwierzyć w to, co niemożliwe”.

„Zdaje się, że nie masz w tym wielkiej wprawy – powiedziała Królowa. – Ja w twoim wieku zawsze ćwiczyłam to przez pół godziny dziennie . Nieraz jeszcze przed śniadaniem dochodziłam do sześciu niemożliwości , w które udawało mi się uwierzyć” .

Alicja w Krainie Czarów tłum. Robert Stiller

Dziewczyna w lustrze

Lipiec 1992

– Bellie, Bellie, już jestem.

Lila pukała podekscytowana do drzwi. Gdy przestępowała z nogi na nogę, poczuła, jak jej biała bawełniana zakolanówka zsunęła się, łaskocząc, z kolana niczym pijany strażak zjeżdżający po rurze i uformowała strudzonego kopczyk wokół kostki. Po chwili Lila poprawiła sobie majtki wrzynające się między pośladki, zdmuchnęła pierzaste włosy, które przykleiły się do jej wilgotnych ust, i prawie już czerwonymi knykciami zastukała ponownie do drzwi.

– Dlaczego nazywasz ją Bellie? – Mała dziewczynka obok niej wreszcie się odezwała.

Jej głos wydał się wyjątkowo cienki przy gigantycznych drzwiach wejściowych.

Przysunęła się więc do Lili dla bezpieczeństwa. Dla ochrony przed tym, czego nie była pewna.

Ogród, przez który przeszły, przypominał od frontu dżunglę – nieokiełznaną i zaniedbaną, przeciwieństwo ogrodu Sarah, którego co dwa tygodnie doglądał ogrodnik, aby sprawdzić, czy wszystko w nim jest perfekcyjne i symetryczne, i za każdym razem, gdy widział Sarah w oknie, puszczał do niej oko. Wyszłaby za niego, gdyby była starsza. Ten ogród był inny. Sarah miała wrażenie, że zgubiłaby się w nim bezpowrotnie, gdyby tylko zboczyła z przypadkowo położonego chodnika prowadzącego do wejścia. Dziko rosnące kwiaty o głębokim zapachu wyciągały się ponad nią, próbując wścibsko zajrzeć do wnętrza domu, jakby walczyły o przestrzeń dla siebie. Gałęzie drzew wyginały się i wykrzywiały pod tak niepokojącymi kątami, że Sarah przeszły ciarki po plecach.

– Bellie. – Lila zapukała jeszcze raz niecierpliwie.

– Nie nazywaj jej tak – powiedziała Sarah, tym razem nieco zirytowana. – Dlaczego ciągle ją tak nazywasz?

W końcu Lila opanowała emocje i spojrzała na Sarah z zaciekawieniem. Zmrużywszy powieki, przyjęła postawę obronną.

– To moja babcia Ellie. A ja nazywam ją Bellie.

– Aha. Może jej nie ma. Może powinniśmy już sobie pójść.

Wyczuwając sposobność do odwrotu, Sarah szybko się obróciła, ale gdy miała już postawić stopę na pierwszej kostce zabłoconego chodnika, usłyszała, jak w gigantycznych drzwiach przesuwają się rygiel, skrzypiąc przy tym tak głośno, że mógłby obudzić olbrzyma ze stuletniej drzemki.

– Bellie! – zapiszczała Lila podniecona, Sarah zaś po cichu pożegnała furtkę.

Siwa kobieta przytuliła Lilę z czułością. Jej włosy były śnieżnobiałe i upięte w kok. W dłoni miała laskę, która podczas uścisku znalazła się na plecach dziewczynki. Powitanie wyglądało serdecznie. Zachęcająco. Sarah przestała być już tak spięta.

– Jaki z ciebie dzisiaj niecierpliwy szkrab! – Ellie ze śmiechem odklejała się od wnuczki.

– Wyrываłam chwasty na tyłach ogrodu i nawet tam cię słyszałam.

– Myślałam, że cię nie ma, myślałam, że zapomniałaś – rzuciła Lila bez tchu.

– Oczywiście, że nie zapomniałam. Jak mogłabym zapomnieć, że dziś spotykam się z twoją wyjątkową przyjaciółką.

Cały dzień cieszyłam się, że ją poznam.

Sarah uśmiechnęła się, jej policzki poróżwiały.

Głos Ellie był szorstki i mówiła tak, jakby coś utknęło jej w gardle, jakby coś było tam uwięzione.

Sarah nie mogła przestać słuchać tego uwięzonego czegoś.

Odchrząknęła.

Kobieta spojrzała na nią. Uśmiechnęła się.

– To Sarah – oznajmiła dumnie Lila. – Sarah, to jest Bellie.

Sarah nie wiedziała, czy ma się uśmiechnąć, czy nie. Jednak się uśmiechnęła.

– Dzień dobry. – Jej głos znów stał się cieniutki.

– Witaj, Sarah, bardzo mi miło cię poznać. Chodźcie już, bo chłodno, zobaczycie, co dla was przygotowałam. – Siwa pani obróciła się i weszła do środka.

Lila zniknęła tuż za nią, podskakując z radości.

– Czy upiekłaś swoje babeczki? Z różową polewą? Położyłaś pianki cukrowe na cieście?

A upiekłaś ciasto? Zrobiłaś też konfitury truskawkowe? Mówiłam Sarah, że sama robisz konfitury, a ona mi nie uwierzyła. Zrobiłaś je do rożków? A może rożki są z owocami? Jeśli zrobiłaś rożki, to dodam sobie do nich bitej śmietany.

Lila trąkotała jak nakręcona, podczas gdy Sarah stała przed drzwiami wejściowymi, słuchając, jak fale rozbijają się o strome klify. Był piękny słoneczny dzień. Nadszedł lipiec, właśnie zaczęły się wakacje i wszyscy się cieszyli. Ostatnie lekcje odbyły się na dworze, a jedyne, co zrobili tego dnia, to przeczytali tylko jakąś historię, a potem był piknik na trawie.

Każdy samochód spotkany po drodze do domu Ellie miał opuszczone szyby i Sarah zewsząd słyszała muzykę zmieszaną z rozmowami, które dobiegały z okien, łącząc się w powietrzu ku zdziwieniu przelatujących ptaków.

Lecz tutaj było inaczej. Tu wydawało się, że jest zimno.

Sarah ponownie spojrzała na furtkę; zostawiła ją uchyloną.

Szczelina była wystarczająco duża, aby mógł przecisnąć się przez nią rudy kot. Jakby wyczuwając jej

wzrok, kot zatrzymał się, wygiął grzbiet i spojrzął na nią. Oboje na chwilę zamarli.

– Sarah, gdzie jesteś?

Dziewczynka ocknęła się nagle.

– A, tutaj jesteś. – Lila stanęła w drzwiach wejściowych. – Co robisz?

– Ja tylko...

Powiedz jej, powiedz, że chcesz stąd iść.

– O, to Pierniczek. Bellie! – krzyknęła Lila z głębi gardła.

– Nie jestem głucha, kochanie! – odkrzyknęła babcia.

– Pierniczek wrócił!

Usłyszała, że Bellie coś odpowiada, ale nie wiedziała co, bo i tym razem słyszała głównie to coś w jej gardle.

Sarah znowu odchrząknęła.

– Chodź, zaraz coś zobaczysz – powiedziała Lila z błyskiem w oku.

Wzięła koleżankę za rękę i pociągnęła do środka.

Obie się roześmiały, gdy Sarah na to pozwoliła. Hol wejściowy był duży. Jego ogrom przytłumił śmiech Sarah i sprawił, że nagle się zatrzymała, a to z kolei zatrzymało też Lilę.

Sarah rozejrzała się wokoło. W korytarzu był kominek. Duży świecznik. Cały pokryty kurzem i pajęczyną, która rozpościerała się między dwoma ramionami, od czasu do czasu migocząc w promieniach słońca. Deski na podłodze były zniszczone, wyszczerbione, nierówne i skrzypiały nawet pod lekkimi stopami.

Patrząc na te przy ścianach, można było jednak się domyślić, jak podłoga wyglądała kiedyś. Błyszcząca granica. Na ciemnym drewnianym kominku stały dwa nieduże samotne świeczniki pozbawione świeczek. A nad nimi czarna płachta skrywała coś płaskiego, odsłaniając mosiężną ramę.

– Co jest na tym obrazie? – zapytała Sarah, ponownie czując niepewność.

– Na jakim obrazie? – zdziwiła się Lila.

– Nad kominkiem.

– To nie obraz, to czarna płachta – odpowiedziała Lila, jakby Sarah była niespełna rozumu.

Lila złapała ją za rękę i znów pociągnęła za sobą.

– Lustro. Bellie nie lubi luster. Chodź, oprowadzę cię.
Możemy tu mieć masę przygód.

Lila z podnieceniem pokazywała Sarah dom, otwierając po kolei drzwi, oznajmiając, do czego służy pokój, i mówiąc, jaka może je w nim czekać przygoda. Następnie szybko zamykała drzwi i biegła dalej, ciągnąc za sobą Sarah.

Dom był rzeczywiście ogromny, tak jak Lila obiecała.

Wysokie stropy, okna od podłogi do samego sufitu, mnóstwo bibelotów, mnóstwo kryjówek. Mnóstwo mrocznych miejsc. Lila jednak zdawała się tego nie zauważać. Dla niej dom był pełen kolorów, radości, tajemnic i wspomnień. Lecz tam, gdzie ona widziała światło, Sarah dostrzegała cienie, tam, gdzie Lila czuła ciepło, Sarah przechodziły dreszcze. Każdy pokój, który Sarah oglądała, miał albo całe ściany, albo ich część zasłoniętą czarnymi płachtami. Patrzyły na Sarah chytrym spojrzeniem kostuchy.

Przebiegły obok drzwi, których, w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych, Lila nie otworzyła.

– Co tam jest? – spytała Sarah.

Lila przystanęła.

– Och. – Przechyliła się nad poręczą i spojrzała w dół, upewniając się, czy Bellie nie ma w pobliżu. Słyszały, jak stuka naczyniami w kuchni. – Nie wolno mi tam wchodzić, ale pokażę ci.

– Nie, nie, w porządku. Nie chcę tam zaglądać, jeśli ty nie możesz – powiedziała Sarah, wycofując się.

– Pokażę ci. – Lila się uśmiechnęła. – To nic szczególnego.
Po prostu pokój gościnny.

– To dlaczego nie wolno ci tam wchodzić?

Lila wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie pytałam dlaczego, ale byłam w nim już wiele razy.

Wspięła się na palce i sięgnęła po klucz schowany nad framugą drzwi, włożyła go w dziurkę i przekręciła. Przez cały czas Sarah czuła, jak wali jej serce; rozglądała się wokoło, czekając, kiedy Bellie pojawi się obok, mimo że słyszały ją na dole.

– Nie, Lila, nie rób tego. Nie chcę, żebyśmy miały kłopoty.

– Bez obawy – szepnęła Lila.

Pchnęła drzwi; Sarah obawiała się, że zaraz coś na nią wyskoczy, ale nic takiego się nie stało. W ogóle nic się nie wydarzyło. To był nudny pokój. Podwójne łóżko, poszarzała biała pościel, dwie nocne szafki, kominek. Jednak w oczy rzucało się przede wszystkim podłużne wolno stojące lustro szczelnie zasłonięte czarnym materiałem.

Sarah przełknęła ślinę. Nie był to największy mebel w pokoju, ale w nim dominował, jakby zawładnął całym pomieszczeniem.

– Wejdźmy – szepnęła Lila.

– Nie. – Sarah ją pociągnęła. Próbowwała ukryć przerażenie w głosie i nawet się uśmiechnąć, ale czuła, że drżą jej usta. – Chciałabym zobaczyć te wszystkie cudowne ciasteczka, o których mi opowiadałaś.

Lila się ocknęła, jakby właśnie sobie o nich przypomniała.

Zamknęła drzwi, po czym zbiegły na dół i minawszy kilka pokoi, dotarli w końcu do oszklonej werandy. Lila stanęła dumna. Nie kłamała. Stół ugiął się od ciast, babeczek, placków i rożków. Wszystko domowego wypieku, co można było wynioskować choćby z leżących w zlewie garnków i rondli. Z mis wysypywały się owoce, a kleksy śmietany leniwie rozplływały się w rozstawionych tu i ówdzie na stole naczyniach. Były też dzbanki z sokami i lemoniadami – bez wątpienia również własnej roboty.

Ogród za wszelką cenę próbował dostać się do środka.

Drzewa wyciągały gałęzie niczym ramiona, gałązki jak pazury, przyciskając się do szyb.

Kwiaty wyglądały jak widma, niemalże złowrogo, gdy spozierały na jedzenie, na Sarah, w ogóle na wszystko, tylko czekając, aż coś się stanie. To, że Ellie wyrywa chwasty, wydało się Sarah zupełnie niemożliwe. Nie umiała sobie wyobrazić, jak starsza pani mogłaby wyjść z tego domu i nie zagubić się na zawsze.

– No i jak? Co myślisz? – zapytała Lila.

Ellie stała przy stole, w ręce trzymała laskę, której koniec tkwił w szparze między płytkami terakoty.

Głos Sarah zabrzmiał jeszcze cienie w tym pomieszczeniu, gdy powiedziała: – Chciałabym już pójść do domu.

– Co? – rzuciła Lila zaskoczona. – Dlaczego?

Sarah zignorowała Lilę i spojrzała na Ellie.

– Chciałabym już pójść do domu, proszę – powtórzyła grzecznie.

– Zadzwoń do twojej mamy – odparła kobieta ze spokojem, jak gdyby przewidywała, że coś takiego się wydarzy.

– Ale dlaczego? – Lila wodziła wzrokiem od Bellie do Sarah, jakby obie coś wiedziały i nie chciały się z nią tym podzielić.

– Jesteś chora? Nie lubisz babeczek. To nie musisz ich jeść.

– Spokojnie, Lila – zwróciła się do niej łagodnie Ellie. – Daj teraz Sarah spokój. Pewnie wolałabyś zaczekać na mamę przy furtce?

Furtka. Nadal była trochę uchylona. Sarah nie mogła się doczekać, kiedy się stąd wydostanie.

Skinęła głową, lecz po chwili przypomniała sobie o dobrych manierach.

– Tak, wolałabym.

Lila i Sarah usiadły obok siebie na murku. Machały nogami, uderzając piętami o rozpadające się cegły. Żadna nie odezwała się ani słowem. Do chwili, gdy ujrzały samochód mamy Sarah.

– Dziękuję, że mnie zaprosiłaś – powiedziała uprzejmie Sarah, odczuwając zarazem wielką ulgę.

– Nie bawiłaś się dobrze. Krótko tu byłaś. Nie zdążyłam ci nawet pokazać mojej kryjówki z tyłu w ogrodzie.

Sarah wzdrygnęła się. Gdy auto zwolniło i zatrzymało się przy nich, zeskoczyła z murku i serdecznie przytuliła Lilę.

– Zobaczymy się w lecie? – spytała Lila.

Sarah potaknęła.

Ale się nie zobaczyły.

Sarah pomachała koleżance z fotela pasażera, starając się nie patrzeć na dom. Pamiętała, że to przynosi pecha.

– Co się stało, skarbie, pokłóciłyście się? – spytała mama.

Sarah pokręciła głową.

– Źle się czujesz?

Znów pokręciła głową.

Mama wyciągnęła rękę i dotknęła czoła dziewczynki.

– Nie wydaje się gorące – stwierdziła.

– Nie jest.

– Czy coś się stało? – drążyła mama, coraz bardziej przejęta.

Sarah wiedziała, że jeśli chce uniknąć niekończących się pytań, musi jej wszystko wytłumaczyć. W przeciwnym razie mama gotowa jest nawet wysłać do jej pokoju tatę, gdy wróci z pracy, aby wypytał ją ostrożnie, w przekonaniu, że Sarah nie domyśli się jego prawdziwych intencji, które jednak dla niej zawsze były oczywiste.

Zaczęła więc mówić.

– Wszystkie lustra były pozasłaniane czarnymi płachtami.
Każde lustro w każdym pokoju. Wszystkie z czarnymi płachtami.

Mama milczała zamyślona.

– Były tak udekorowane?

Sarah pokręciła głową.

– Lila powiedziała, że jej babcia nie lubi luster.

Mama nie odzywała się przez chwilę, lecz potem, z fałszywą pewnością siebie, oznajmiła: – No widzisz, jej babcia po prostu nie lubi luster. Ludzie lubią różne rzeczy, córeczko, sama przekonasz się o tym w przyszłości, nie zawsze ma to sens, lecz tak już jest.

– Dlaczego ona ma ich nie lubić?

– Może po prostu nie lubi patrzeć na siebie, skarbie.
Niektórzy tak mają.

– Ale to nie może być powód, mamo.

– Dlaczego nie?

– Dlatego, że jej babcia jest niewidoma. – Sarah zniżyła głos do szeptu, mimo że były już daleko od tamtego domu. – Ona nie ma w ogóle oczu.

Lila nie miała pojęcia, dlaczego jej Bellie nie lubi luster, po prostu wychowała się, wiedząc, że babcia ich nie lubi, tak jak wiedziała, że nie należy wsypywać cukru do herbaty taty i że nie można zmuszać mamy do siedzenia pośrodku rzędu w kinie czy w głębi restauracji. Nie wiedziała, dlaczego tata nie lubi słodzonej herbaty ani dlaczego mama cierpi na lekką klaustrofobię, wiedziała tylko, że tak jest, i to jej wystarczało.

Bellie powiedziała jedynie kiedyś: „To była cena wolności”.

Nie miało to dla nikogo najmniejszego sensu ani nie wyjaśniało jej tajemnicy. Lila nie tylko nie znała powodu, ale nie odnosiła też wrażenia, że jest w tym coś osobliwego. Lustra były zasłonięte czarnymi sukniami, a pokoje ciemniejsze niż u innych. Nie przeszkadzało jej też, że nie wie, dlaczego ojciec nie lubi słodzonej herbaty i dlaczego matka czuje, że ściany zamykają się wokół niej za każdym razem, gdy siedzi w środku rzędu. Mimo że Sarah opuściła dom w pośpiechu, a Lila słyszała potem w szkole plotki o swojej dziwnej niewidomej babci, która boi się luster i mieszka sama w domu na klifie, dalej żyła w niewiedzy, nie przykładając do tego większej wagi.

Chociaż.

Mogła zapytać.

Lipiec 2010

– Przestań do mnie dzwonić. – Lila roześmiała się w słuchawkę. – Rozmawianie z narzeczonym w takim dniu przynosi pecha czy coś w tym stylu.

– Pechem byłoby, gdybyśmy się zobaczyli, ale dla mnie to kompletna bzdura – odpowiedział Jeremy. – Zmartwiłem się tylko, że się nie pojawisz. Nie odbierałaś telefonu.

– Nie odbierałam, bo wiedziałam, że to ty i że to pech.
Oczywiście, że się pojawię, możesz już przestać się martwić?

Zaśmiali się oboje.

– Zaczekaj, jadę właśnie do Bellie, muszę się skupić. Włączę głośnik.

– Ktoś jest z tobą w samochodzie?

– Tylko ja i sukienka.

– Cześć, sukienko, nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę cię dziś w nocy na podłodze hotelowego pokoju.

Lila się roześmiała.

– Tyle mnie kosztowała, że chyba nigdy jej nie zdejmę.
Powinnam się pospieszyć, jestem w Bishop's Gap.

– To już twoja sprawa – zażartował Jeremy, mając na myśli strome wzniesienie na drodze do domu Bellie. – Ale jest jeszcze jedno. Tylko najpierw weź głęboki oddech.

Lila jęknęła na wszelki wypadek.

– Dzwonił menedżer hotelu. Uważa, że sala balowa wyglądałaby bardziej wyrefinowanie – to jego słowa, nie moje – gdyby zostawić lustra tak, jak są.

– No nie. Wydałam tyle pieniędzy na czarny materiał nie po to, żeby teraz ich nie zasłaniać. A co z pokojem Bellie? Tam też zamierza odsłonić lustra?

– Nie, jej pokój mu nie przeszkadza, ma tylko problem z salą balową. Chciałby, żeby goście widzieli ją w całej okazałości.

– To w końcu mój ślub, a nie jego.

Cisza. Potem.

– Kochanie, ona nawet nie zauważy.

– Jeremy.

– Przepraszam.

– Nie wierzę, że to powiedziałaś.

– Wiem, cofam to. Przepraszam.

– W takim razie wstawiam kozi ser z powrotem do menu, żeby twoja matka wyleczyła się ze swojej wyimaginowanej alergii – odparła Lila z wściekłością.

– Lila, spokojnie. Powiedziałem, że przepraszam. Wiem. Rozumiem w pełni. Uwielbiam Ellie tak samo jak ty. Chciałem tylko znaleźć w tej okropnej sytuacji coś pozytywnego.

– Nie ma żadnej okropnej sytuacji. Oddzwoń do niego i powiedz, że wszystkie zasłony mają wrócić na lustra albo zrobię to sama.

– Okej, załatwione. Teraz już się uspokój i skup na drodze.

Lila próbowała się opanować, czekała, aż krew przestanie się w niej burzyć.

– Za dwie godziny będziesz moją żoną – rzucił Jeremy.

Lila słyszała, że się uśmiecha.

– A potem, skoro już usidlę swojego faceta, będę mogła pokazać swoją prawdziwą naturę i przestanę udawać aniołka – oznajmiła i roześmiała się głośno.

On też się zaśmiał.

– Taki z ciebie aniołek?

Uśmiechnęła się. Spojrzała na siebie w lusterku. Wyglądała na szczęśliwą. Była szczęśliwa. Jak nigdy dotąd.

– Kocham cię, małpko – powiedział.

– Kocham cię, hipku – odrzekła, uśmiechając się do swego odbicia w lusterku.

Rozłączyła się akurat w chwili, gdy dom Bellie pojawił się na horyzoncie, a ją przebiegł dreszcz podekscytowania. Nie była w stanie wyobrazić sobie nikogo innego, z kim mogłaby spędzić ten wyjątkowy poranek i kto mógłby zaprowadzić ją do ołtarza.

Drzwi frontowe otworzyły się, zanim zgasł silnik i chociaż Lila przez zarośnięty ogród nie widziała jeszcze Bellie, już z daleka mogła wyczuć jej podniecenie. Płynęło spod biało-czarnego drewnianego łuku nad drzwiami, pomiędzy dzwonków i pokrzyw, hortensji i mniszków. Kicało nad popękana,

przerośniętą trawą kostką brukową i przywitało ją u skrzypiącej furtki wiszącej na jednym zawiasie.

Lila trzymała suknię przerzuconą na rękach, jakby niosła zmęczone, śpiące dziecko do domu. Gdy zbliżyła się do Bellie, wyciągnęła suknię do przodu.

Dłonie Bellie automatycznie przylgnęły do materiału. Stare palce przesuwają się z gracją po jedwabiu niczym baletnica w pointach.

– To kość słoniowa – szepnęła Lila, nie chcąc głosem zakłócić doznań babci.

Bellie milczała, jej palce wciąż badały tkaninę. Lila zamknęła oczy, słuchając rozbijających się w dole fal i szumu wiatru. Gdyby nie wychodziła dziś za męża za mężczyznę, którego kocha, pragnęłaby, aby ta chwila zatrzymała się w czasie.

Palce Bellie poruszały się po materiale jak palce pianisty podczas koncertu; gdy skończyła utwór, zatrzymały się, ona zaś złożyła je razem i dotknęła nimi swojej uśmiechniętej twarzy.

– Jest piękna – powiedziała.

Lila powiesiła suknię w sypialni Bellie na górze, po czym zeszła z powrotem do kuchni. Wierna swoim zwyczajom babcia zapełniła całą werandę domowymi wypiekami.

– Bellie – roześmiała się Lila – mówiłam ci, żebyś tego nie robiła, bo nie wejdę w suknię.

– Oj, wiem – przeprosiła Ellie. – Po prostu nie miałam pojęcia, co ze sobą począć, więc wstałam o trzeciej i zaczęłam piec.

– O trzeciej?

– Nie mogłam spać. – Zaśmiała się. – Jestem tak podekscytowana. Ach, Lila. – Chwyciła wnuczkę za rękę.

Było im obu ciepło od tego pieczenia.

– Twoi rodzice byliby bardzo dumni.

– Och, przestań – rzuciła Lila, cofając rękę i wycierając kącik oka. – Zepsuje mi się makijaż.

– Już jesteś umalowana?

– Louise zrobiła mi fryzurę i makijaż dziś rano. Mnie ręce tak się trzęsły, że sama nie dałabym rady – skłamała Lila.

Ellie zamilkła na chwilę, gdy zdała sobie sprawę dlaczego.

Oczywiście. Musiałaby widzieć Lilę, aby zrobić jej fryzurę i makijaż.

– I jak się czujesz przed wyjściem z domu?

Ellie nie opuściła granic swej posiadłości od ponad pięćdziesięciu lat. Od wypadku.

– Wiesz co? Jestem bardzo podekscytowana – powiedziała i uśmiechnęła się szeroko.

– Chciałabym, żeby mama i tata tu byli.

– Będą. W pierwszym rzędzie, jestem pewna. Twój tata nigdy nie opuścił żadnej uroczystości. Pierwszy rząd na każdym feisie[1] i recitalu, żeby zobaczyć swoją dziewczynkę.

– Trzecia w Europie – powiedziała Lila i obie się roześmiały.

Miała na myśli czas, kiedy zajęła trzecie miejsce w konkursie tańca irlandzkiego i ojciec chwalił się wszystkim naokoło, że jego córka jest trzecią najlepszą tancerką w Europie. Do rywalizacji przystąpiły w sumie tylko trzy dziewczynki.

– To co by dziś o mnie powiedział? – Lila na wpół się śmiała, na wpół płakała.

– Najlepsza panna młoda w całym kościele. – Ellie zniżyła głos, imitując ojca Lili. – Zdecydowanie, zdecydowanie najlepsza panna młoda w całym kościele.

Znowu wybuchnęły śmiechem.

– Och, Bellie, co ja bym bez ciebie zrobiła? Jesteś moim zbawieniem.

– A co ja bym zrobiła bez ciebie, moja kochana.

Przytuliły się mocno.

– No, koniec już tych głupstw – powiedziała Ellie, prostując się. – Ubierzmy cię w tę suknię, zanim Jeremy pomyśli, że zmieniłaś zdanie.

– Aaach! – pisnęła podniecona Lila. – Wrócę za chwilę.

Wbiegła po ciemnych drewnianych schodach, z trudem łapiąc oddech, tak jak robiła przez tyle lat jako dziecko, zawsze lądując stopami precyzyjnie na wytartych plamach. Weszła do sypialni Bellie i uśmiechnęła się na widok swojej sukni wiszącej na drzwiach szafy. Mimo rozsuniętych zasłon w pokoju panował półmrok. Lustro nad komodą było przesłonięte czarnym sukniem, natomiast długie lustro na ścianie zakrywała dykta. Ogarnął ją nagły żal, że nie może ujrzeć swojego odbicia. Zdała sobie sprawę, że pierwszymi osobami, które ją zobaczą, będą goście w kościele.

A co, jeśli będzie miała szminkę na zębach.

Nie mogła na to pozwolić. Nie w dniu swojego ślubu.

Weszła do pokoju obok, którego progu Bellie nigdy nie pozwalała jej przekraczać.

Skrywał on najlepsze lustro w domu.

Wolno stojące, wysokie, ukazujące całą sylwetkę. Lila była w tym pokoju wiele razy, lecz nigdy w nie

nie spojrziała. Szanowała prośby Bellie. Ale dziś jest dzień jej ślubu i pierwszy raz od dwudziestu ośmiu lat musi być nieposłuszna. Gdyby Bellie się kiedyś dowiedziała – choć Lila nie widziała powodu, aby tak się stało – wszystko by jej wytłumaczyła. Najważniejszy dzień w życiu. Bellie by zrozumiała. A nawet jeśli nie, to na pewno by wybaczyła.

W sypialni dla gości unosił się wilgotny zapach nigdy niewietrzonego pokoju; czuć było stęchliznę, jak w pokoju nigdy niesprzątanym, i panował lodowaty chłód, jak w pokoju nieogrzewanym przez ponad pięćdziesiąt lat.

Gdy Lila pociągnęła za czarne sukno, poczuła się jak niegrzeczna uczennica; przez chwilę obawiała się nawet, że z kąta wyskoczy jakiś potwór. Serce podeszło jej do gardła. Lecz gdy materiał zsunął się z lustra, widok ją oszołomił. To ona. Ona sama.

Ładna. Piękna. Wyglądała tak dorosłe w tej sukni. Łzy napłynęły jej do oczu. Zrobiła krok do tyłu, aby obejrzeć całą sylwetkę. Było cudownie. Czują się cudownie. Pomyślała o swoim dzieciństwie, które teraz już naprawdę się skończyło, o rodzicach, o utracie tak wielu rzeczy, lecz też o radości z tego, co ją czeka. Śmieszne.

Wszystko z powodu jakiejś tam sukni.

Znów chciało jej się płakać; powachlowała twarz, aby łzy nie zepsuły jej makijażu. Za późno. Jedna spłynęła już po policzku.

– Cholera. – Lila przysunęła się bliżej do lustra, aby zbadać szkodę w makijażu.

Trochę rozmazany.

Za wszelką cenę próbowała poprawić go opuszkami palców.

To jedyna okazja, następne lustro zobaczy dopiero po wyjściu z kościoła, ale wtedy będzie już za późno.

Z bliska dostrzegła, że jej czoło raptownie się zmarszczyło.

Nagły ruch. Dziwne, bo nie czuła, że się skrzywiła. Zmarszczki w dniu ślubu. Świetnie.

Przyłożyła palce do czoła, aby dotknąć wybrzuszeń, lecz, o dziwo, ruch jej dłoni nie zgadzał się z tym w lustrze. W głowie włączyło się światelko alarmowe.

– Lila – wołała ją Bellie.

Nie mogła odpowiedzieć, nie chciała, żeby Bellie usłyszała jej głos dochodzący z pokoju gościnnego. Nie chciała nic tłumaczyć. Popełniła błąd, była tego świadoma. Od zawsze wiedziała, że Bellie jest racjonalną kobietą, że wszelkie jej obawy musiały mieć powód. Zawsze to szanowała i wierzyła w to, jednak dopiero w tej chwili naprawdę to uznała.

Przestraszona, wyprostowała się. Odbicie w lustrze odpowiadało ułożeniu jej ciała.

Roześmiała się, uzmysłowiwszy sobie, że to wszystko sprawka jej wyobraźni. Wyciągnęła rękę, aby dotknąć lustra.

– Lila, czy wszystko w porządku?

Nagle ręka w lustrze poruszyła się i ją chwyciła. Lila poczuła czyjeś ciało, zimne ciało, i z dużą siłą została przeciągnięta przez szklaną tafłę, która wydała się lodowatym podmuchem powietrza na jej skórze. Stała naprzeciw samej siebie w sukni ślubnej.

Spojrzała w prawo – pokój jakby odbity w telewizorze. Masywne łóżko z mosiężnym zagłówkiem, ciemne niewytarte deski podłogowe. Białe ściany, zakurzone stoliki nocne. Krzesło pod ścianą. To wszystko. Pusta przestrzeń wokół. Drzwi się zamknęły.

– No, no, wreszcie spotykamy się na żywo – powiedziała dziewczyna naprzeciw niej. Nie brzmiała jak Lila i nie wyglądała do końca jak ona. Czegoś brakowało w jej oczach, stwierdziła po wnikliwym przyjrzeniu się Lila.

Były martwe, zimne.

Lila potoczyła wzrokiem wkoło. Pokój, w którym stała, był dokładnym odbiciem sypialni dla gości. Wszystko odwrócone.

Obrazek, łóżko, nocne stoliki, drzwi.

– Lila! – znów dobiegło wołanie Bellie.

– Jestem tutaj! – usłyszała swój krzyk.

Desperacja. Panika.

– Nie usłyszysz cię – zaśpiewał głos.

Lila odwróciła się, aby wyjść z lustra, lecz odbiła się tylko od zimna. Od zimnej nicości. Od ściany zimna.

– I nie możesz wyjść – kontynuował jednostajny głos.

– Kim jesteś? – odezwała się w końcu Lila; trzęsła się ze strachu i złości.

– Dzisiaj – spojrzała w dół ta druga – wygląda na to, że jestem panną młodą. Pa-ram-pam-pam – zaśpiewała i się roześmiała.

– Kim ty, do cholery, jesteś?

– Och, naprawdę, nie denerwuj mnie. Patrzysz na mnie codziennie i mnie nie widzisz?

Lila otworzyła i zamknęła usta, nie wiedząc, co powiedzieć; jej myśli pędziły z prędkością światła, gdy próbowała cokolwiek zrozumieć. Czy to jakiś żart? Okrutny żart jej przyjaciół w dniu ślubu? Wiedziała jednak, że nie. Wszystko wydawało się zbyt realne, nie działo się w wyobraźni. Instynkt podpowiadał jej, że znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie.

– Ja widuję cię codziennie – mówiła dziewczyna.

– Codziennie patrzę na ciebie. Nie jesteś aż tak doskonała, jak chcesz być, prawda? – Uśmiechnęła się

chyttrze.

– Muszę stąd wyjść – powiedziała Lila, tym razem chłodno.

– Wypuść mnie stąd, do cholery. Albo...

– Albo co? – Dziewczyna uśmiechnęła się, rozbawiona. – Coś mi zrobisz?

Lila rozejrzała się po odbitym w lustrze pokoju, szukając oczami jakiejś broni. Chciała się obronić.

Jak ma się babcię bez oczu, która boi się luster i od pięćdziesięciu lat nie wyszła z domu, z tajemniczego domu na końcu cypla, to trzeba nauczyć się bronić.

Rozejrzała się wokoło.

Jej wzrok padł na jedną z nocnych szafek, w której schowała kiedyś po jakiejś zabawie z koleżanką nóż do otwierania listów.

Bała go się znieść z powrotem na dół, żeby Bellie nie dowiedziała się, że ona w ogóle go dotykała. Był więc tutaj przez tyle lat.

Ruszyła prosto do szafki, zamiatając trenem odbity kurz, który się nie unosił. Otworzyła szufladę.

Dziewczyna odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się.

– Co ty wyrabiasz?

Szuflada była pusta. W środku ziała czarna dziura, nie było nawet dna.

– Nie rozumiesz? To wszystko atrapy. Tu nic nie jest prawdziwe. To odbicie. Nic nie jest rzeczywiste.

– Więc ty też nie jesteś prawdziwa – odparła ostro Lila. – To znaczy, że jesteś jedynie odbiciem, że jesteś niczym, że nie jesteś prawdziwa.

– Posłuchaj, Lila, teraz tylko ja jestem tutaj prawdziwa.

Jedynie ja mogę stąd wyjść.

Lila przełknęła ślinę.

– Lila! – zawołała Bellie. Jej głos był donośniejszy nie tylko z powodu zdenerwowania, ale też dlatego, że się zbliżała.

Lila usłyszała jej kroki na schodach. Nie wiedziała, czy chciałaby, żeby Bellie weszła do pokoju. Gdyby weszła, nie wiedziałyby, że sukno zostało ściągnięte. Chyba że wyczułaby to w jakiś sposób, a Lila nie chciała, aby Bellie dotknęła lustra.

– Oto i ona – powiedziała dziewczyna, unosząc brew.

Wyglądała tak, jakby miała zamiar zjeść górę smakołyków po całym życiu głodowania. – Nie widziałam tej dziwki od dawna.

Ale w sumie ona mnie też nie. – Zachichotała. – Wiesz, że dobrze zrobiłaś, słuchając tej starej krowy. I

nigdy nie spojrziałaś w żadne lustro. Przez dwadzieścia osiem lat. Dlaczego? Bałaś się?

Nie pozwoliła Lili odpowiedzieć.

– I ze wszystkich dni, żeby się jej przeciwstawić... – Cmoknęła, kręcąc głową, jakby Lila była niegrzecznym dzieckiem.

– Najważniejszy dzień w twoim życiu? Wygląda na to, że to ja będę dziś spać z Jeremym.

Na pewno będę się dobrze bawić.

Lila nie mogła się powstrzymać. Wyciągnęła rękę i mocno uderzyła dziewczynę w policzek. Ukłuł ją lodowaty chłód. Głowa dziewczyny odskoczyła na bok i zaraz wróciła do poprzedniej pozycji, ona zaś przyłożyła sobie dłoń do policzka i zaczęła się śmiać.

– Teraz to już na pewno będę dobrze się bawić. Może nawet zrobimy to przed lustrem, żebyś mogła popatrzeć. Jeremy'emu pewnie się spodoba, prawda? W sumie tobie też. Jak on miał na imię, Vincent? W toalecie? Szczerze mówiąc, Lila, nie spodziewałam się tego po tobie.

Ciekawe, czy Jeremy o nim wie.

Może noc poślubna to dobra okazja, żeby wyznać wszystkie sekrety. – Puściła oko.

– Jeśli sądzisz, że pozwolę ci zabrać moje życie, to się mylisz.

– Jasne. Nie myślisz chyba, że zabrałabym ci życie bez pytania? To by było po prostu niegrzeczne.

– Jeśli tak, to moja odpowiedź brzmi: Nie.

– Jeszcze cię nie spytałam. Nie usłyszałaś, co możesz wybrać. Masz trzy szanse, żeby powiedzieć: Tak.

– Nie ma żadnego wyboru. Wracam przez lustro – powiedziała Lila z determinacją.

– Możesz dać mi swoje oczy – rzekła dziewczyna, teraz śmiertelnie poważna.

– Co? Nie! – Lila cofnęła się o krok.

– Lila! – znów rozległo się wołanie Bellie. Tym razem w jej głosie była złość. – Chodź tu natychmiast. Gdzie jesteś? – Usłyszała, jak drzwi do sypialni Bellie się otwierają.

Zorientowanie się, że nie ma w niej wnuczki, zajęłoby jej chwilę.

– Jestem tutaj, jestem tutaj! – krzyknęła.

– Nie usłyszysz cię – pisnęła dziewczyna. – Teraz daj mi oczy.

– Nie! – krzyknęła Lila. – To nie jest śmieszne. Chcę stąd wyjść. Wypuść mnie!

Dziewczyna wzięła głęboki oddech.

– Nie słuchasz mnie uważnie, Lila. Masz ostatnią szansę.

– Zwariowałaś? Po co miałabym dawać ci swoje oczy?

– To cena wolności – odpowiedziała wprost dziewczyna.

– O Boże – szepnęła Lila. – Zabrałaś jej oczy.

– Tak, to trochę paskudne – rzekła dziewczyna, kręcąc nosem. – Niezbyt przyjemne.

Dlatego, gdy byłam na twoim miejscu, nie zgodziłam się. Twoja babcia natomiast – ona była inteligentna. Wybrała wolność. Ty za to... Jesteś próżna. Możesz tego nie zrobić. Ale jesteś moją jedyną nadzieją. Już od dawna czekałam. Ona nie ułatwiała mi życia.

– Od kiedy tu jesteś? – spytała Lila.

– Nie siedzę tu, żeby prowadzić z tobą pogawędki. Tkwię tu już wystarczająco długo. Teraz masz ostatnią szansę. – Wzięła głęboki oddech, jakby od niego zależało jej życie.

– Skrzywdziłaś moją babcię – powiedziała Lila ze złością.

– Nigdy nie pozwolę, żebyś zrobiła to samo ze mną.

– To jak brzmi twoja odpowiedź? Tak czy nie?

– Nie – odpowiedziała Lila stanowczo.

Dziewczyna, wyraźnie rozluźniona, uśmiechnęła się i odetchnęła głęboko, jakby wstrzymywała powietrze od lat.

– Dziękuję – powiedziała łagodniejszym niż dotąd tonem.

– Co?

– Dbaj o siebie. Może się tu zrobić zimno. Do zobaczenia.

Weszła do lustra i w powiewie zimnego powietrza zniknęła po drugiej stronie. Lila pobiegła za nią, lecz znów wpadła tylko w lodowatą nicość. Patrzyła, jak tamta przegląda się w lustrze.

Poczuła, że odruchowo robi dokładnie to samo co ona. Poprawiła włosy tak jak ona, wytarła rozmazany tusz do rzęs jak ona. Wzięła głęboki oddech. Mrugnęła.

– Idę, babciu! – zawołała słodko.

„Babciu”, usłyszała Lila. Bellie będzie wiedziała. Na pewno będzie wiedziała. Po chwili dziewczyna zarzuciła na lustro czarne sukno i nie było już nic. Zupełnie nic. Tylko ciemność.

Krzesło, łóżko, drzwi, obrazek, szafki nocne. Wszystko zniknęło. Zrobiło się też cicho, Lila mogła usłyszeć własny oddech. I poczuć zimno.

*

Ellie była na skraju rozpacz. Szukała wszędzie, dotykała ścian i podłogi w swojej sypialni na wszelki wypadek, w razie gdyby Lila upadła. Właśnie miała zadzwonić do Jeremy’ego, gdy nagle nasza ją pewna myśl. Desperacka myśl. Nie, nie zrobiłaby tego. Boże święty, błagam, nie pozwól jej tego zrobić.

Po omacku doszła do sypialni dla gości.

Dużo czasu minęło, odkąd choćby przechodziła obok tych drzwi. A całe życie od chwili, gdy przez nie przeszła. Była wtedy inną kobietą. Kiedy dostała dom w spadku po teściowej, postanowiła go obejrzeć. Dopiero co tutaj przyjechali, byli bardzo podekscytowani. Pierwszy dzień w ich pierwszym wspólnym domu, więc rozdzielili się i oglądali różne pokoje. Ona wybrała ten. Później on ją zostawił. Ją i jej małą córeczkę. Nie mógł poradzić sobie z nią po tym, co się wydarzyło. Nazwano to załamaniem nerwowym. Samowyniszczaniem.

Stała przed drzwiami, ręka jej drżała, gdy wyciągnęła ją, by nacisnąć klamkę. Poczuła, że jest jej słabo. Kolana trzęsły się pod nią tak bardzo, że niemal nie mogła ustać.

I wtedy usłyszała głos.

– Idę, babciu!

Wiedziała. Wiedziała od razu. Zrobiło jej się niedobrze.

Otworzyły się drzwi.

Ktoś w nich stał, zapatrzony w nią, gdy się cofała, aby czegoś się złapać. Żeby nie upaść. Uderzył ją zimny podmuch. I wreszcie.

– Co się stało?

Ellie, zawsze bohaterka, zapanowała nad sobą.

– Lila, moja droga – wydyszała. Tabletki na serce. Przynieś mi tabletki na serce.

– Co się dzieje? Gdzie one są? Zapomniałam.

– Pamiętasz, co mówił lekarz – ciągnęła Ellie.

– Wiem, wiem, musisz uważać. Gdzie one są?

Nic złego nie działo się z jej sercem.

– W mojej łazience.

Dziewczyna przeszła do sypialni. Ellie od razu odgadła, że to jej pokój. Rozpoznałaby, gdyby stopy zrobiły kilka kroków z dywanu w sypialni do wyłożonej kafelkami łazienki, ale do jej uszu nie doszedł żaden odgłos. Czyli dziewczyna ciągle była w sypialni.

– Nie mogę ich znaleźć.

– Jesteś w łazience?

– Oczywiście.

Test nie zawiódł, dziewczyna chciała, żeby Ellie umarła.

Ellie to wiedziała. Nie poddała się pięćdziesiąt lat temu, więc teraz tym bardziej nie mogła.

Szybko zeszła na dół.

– Dokąd idziesz? – spytała Lila, pojawiając się na schodach.

Ogarnięta paniką, ale próbując to ukryć, Ellie dotarła do drzwi wejściowych. Otworzyła je. Wiedziała, że samochód stoi na końcu ogrodu po drugiej stronie furki.

– Kierowca już jest, musimy iść.

– Och – odezwała się dziewczyna lekkim tonem. – Czas wziąć ślub!

– Ty idź do samochodu, ja muszę jeszcze zadzwonić – rzuciła Ellie od niechcenia.

– Do kogo? – Lila szybko znalazła się obok niej. Razem z nią napłynęło lodowate powietrze.

– Do Jeremy’ego. Chcę mu tylko powiedzieć, że wychodzimy.

– Pójdę z tobą.

Wiedziała. Wiedziała, że Ellie wie.

– Jeremy – rzekła Ellie obojętnie. – Wychodzimy właśnie z domu.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał z troską.

– Dlaczego?

– Twój głos... Brzmi jakoś smutno.

Ellie zamilkła. Chciała, żeby się domyślił, że coś jest nie tak.

Chciała, żeby zdał sobie sprawę, że to nie Lila stanie obok niego w kościele.

– Bellie?

– Tak?

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Zajmiemy się dziś tobą. Okej?

Ellie przełknęła ślinę.

– Do zobaczenia wkrótce.

Nie odzywały się w samochodzie. Nie odzywały się, gdy z niego wysiadły. Nagle, kiedy dotarły do kościoła i otworzyły się przed nimi drzwi, dziewczyna szepnęła Ellie do ucha: – Wyobraź sobie biedną Lilę zamkniętą w tej czarnej nicości, samą ze sobą. I popatrz na nas tutaj.

Rozległy się dźwięki marsza weselnego.

Ellie szepnęła w odpowiedzi:

– Tak, ale ona nie zostanie tam długo, a ty w takim razie ciesz się ze swoich pięciu minut i sama idź do ołtarza.

Wiedziała, że dziewczyna jest zaskoczona – myślała pewnie, że Ellie nie będzie stawiać oporu, ale to nie ona. Odeszła na bok, nie wiedząc, gdzie się znajduje, czując jednak, że dziewczyna się oddala. Domyślała się, że weszła po schodkach i teraz kroczy do ołtarza.

Ellie poczuła, że ktoś prowadzi ją na jej miejsce. Usiadła i ze ściśniętym gardłem wysłuchiwała ceremonii. Jeremy odpowiadał głosem pełnym emocji, dziewczyna chłodno.

Po uroczystości Jeremy podszedł do niej.

– Ellie, czy wszystko w porządku? Lila powiedziała mi, że nie czujesz się dobrze i dlatego nie mogłaś poprowadzić jej do ołtarza.

Złapała go za ramię, podciągnęła się do jego ucha i wbiła mu paznokcie w skórę, próbując jednocześnie przekazać wiadomość.

– Jeremy, posłuchaj mnie, wiem, że myślisz, że jestem nienormalna...

– Wcale tak nie myślę – przerwał jej Jeremy.

– Posłuchaj. – Wbiła głębiej paznokcie. – Pięćdziesiąt dwa lata temu spojrzałam w lustro... – I opowiedziała mu całą historię.

Gdy skończyła, usłyszała ciszę. – Sprawdź ją, Jeremy. Sprawdź ją, tylko tyle ci powiem. Zrób to dla mnie.

– Okej, Ellie. Okej.

Nie wierzył jej, wiedziała, że tak będzie, ale zasiała ziarno niepokoju i niezależnie od tego, ile lat spędzi z tą dziewczyną, już zawsze będzie miał w głowie słowa Ellie. Może któregoś dnia uwierzy.

Lila znalazła się jakby na środku stadionu piłkarskiego, nie zdając sobie z tego sprawy.

Nagle cała intensywna czerń zamieniła się w rażące światło. Musiała przyzwycząić do niego wzrok.

Otoczali ją ludzie, wiele osób, które znała i kochała. Uśmiechała się do nich, ale jej twarz była nieruchoma. Wszyscy trzymali aparaty, patrzyli z czułością, lecz nie na nią – patrzyli na drugą Lilę, na tamtą dziewczynę, jej odbicie pośrodku parkietu w objęciach Jeremy'ego.

W mrocznym pomieszczeniu, w którym była zamknięta, widziała wokół siebie odbicie wszystkiego, co planowała przez ostatnie kilka miesięcy. Na stołach przepiękne białe róże, krzesła udekorowane białymi kokardami. Wszędzie biel i czerni, aby odwrócić uwagę od czarnego materiału, który zamówiła specjalnie po to, żeby zakryć lustro. Jednak z jakiegoś powodu materiał leżał na podłodze.

Dziewczyna stała pośrodku czarno-białego parkietu w sukience Lili, oplatając ramionami jej chłopaka – teraz już męża.

On natomiast wyglądał na dość oszołomionego. A Ellie... Biedna Ellie stała w tłumie, zagubiona.

– Co ty robisz, Lila? – spytał Jeremy przez zaciśnięte zęby.

– Nie kłóćmy się teraz, wszyscy patrzą. – Dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

– Powiedz mi tylko, dlaczego zdjęłaś te zasłony?

– Po co rezerwować salę balową, jeśli wszystkie piękne lustro mają być zasłonięte. Chcę się w nich widzieć.

– Przecież to dla Ellie, nie dla ciebie. Wiesz o tym.

– Dla kogo?

Jeremy zeszywniał.

Zaśmiała się.

– Och, oczywiście, że wiem, o kim mówisz. Jak mogłam zapomnieć o Bellie. – Wciąż się śmiała. – Bellie, Bellie, Bellie, Ellie. Słuchaj, przejdzie jej. Dziwnie się dziś zachowuje. Wydaje mi się, że powinniśmy ją zabrać do lekarza. Ciągłe bredzi o jakichś dziwnych rzeczach. Pewnie nawet tobie coś wspomniała.

– O czym?

– O lustrze? Czy coś w tym stylu?

Jeremy przyjrzał się jej. Poczł chłód. Wiedział, że coś jest nie tak.

– Kocham cię, małpko.

Dziewczyna roześmiała się, przez chwilę była zdezorientowana, lecz zaraz sobie przypomniała, jak tego ranka Lila spojrzła w lustro w samochodzie i powiedziała: „Też cię kocham, hipku”.

Jeremy się uśmiechnął. Sprawiał wrażenie, jakby mu ulżyło.

– Teraz zatańczmy.

Lila zobaczyła nagle w lustrze, jak jej ręce podnoszą się i obejmują szyję Jeremy'ego, mimo że ona

sama tego nie czuła.

Potem zaczęła wirować. Szybciej i szybciej, w kółko i w kółko, aż zrobiło jej się niedobrze. Wokół uśmiechały się twarze, ona zaś chciała wołać o pomoc, prosić, żeby ją stąd wyciągnęły, lecz one na nią nie patrzyły. Nie w lustro. Patrzyły na dziewczynę na środku parkietu.

Już w domu Ellie stanęła przed lustrem.

– Przepraszam, skarbie. Tak bardzo cię przepraszam.

Zamieniłabym się z tobą miejscami, jednak to i tak by nic nie dało.

Nie mogę wziąć twoich oczu. Byłabyś wtedy moim odbiciem i wyglądałabyś jak ja.

Przemyślałam wszystko. To nic nie da.

Dzwoniłam do Jeremy’ego wiele razy, ale nie odbiera. Wyjechali w podróż poślubną...

Och, skarbie, tak mi przykro.

Ellie postanowiła upiększyć pokój. Zdjęła czarne sukno z lustra. Wstawiła kwiaty, rozsunęła zasłony, sprzątnęła, rozpałała w kominku, starając się ocieplić lodowatą przestrzeń Lili.

Wiedziała, że nic to nie da, ale mimo wszystko próbowała. Minęły miesiące, Ellie nie spotykała się z nikim, nie wpuszczała nikogo, odmawiała rozmowy z Jeremym. Obawiała się, że ją stąd zabiorą i wyślą do tego samego miejsca, w którym zamknęli ją za pierwszym razem...

Więc została sama.

Któregoś dnia wpadła na pewien pomysł. Chciała pomalować pokój, więc zatrudniła miejscowego malarza. Chwilę zajęło jej sprawdzenie okolicznych rzemieślników. Wreszcie znalazła właściwego.

Młody mężczyzna. Dwadzieścia pięć lat. Polak, bez rodziny w Irlandii.

– Proszę, herbata dla pana. – Ellie postawiła kubek na szafce nocnej.

– Dziękuję.

– Bardzo proszę. Może ma pan jeszcze ochotę na kanapki?

Ciastka?

– Nie, dziękuję, nie znajdę już miejsca na więcej tych pyszności. – Uśmiechnął się i poklepał po brzuchu.

– No dobrze. A czy mogę poprosić pana o przysługę? – spytała Ellie uprzejmie.

Mężczyzna przestał malować i odłożył pędzel.

– Pomógłby mi pan wyczyścić to lustro? Wydaje mi się, że popryskał je pan farbą.

Malarz pochylił się tuż nad taflą, przyłożył palec do szkła i próbował zeskrobać farbę paznokciem.

– Teraz, kochana, masz swoją szansę – powiedziała Ellie.

Lila znalazła się naprzeciw młodego mężczyzny.

– Co się dzieje? – spytał, rozglądając się wokoło, zupełnie zbity z tropu.

Oczy Lili były szeroko otwarte.

– Zadam ci jedno pytanie – oznajmiła chłodno. – Masz trzy szanse, aby powiedzieć: Tak – zaczęła.

Wraz z podmuchem bryzy sekretna wieść niczym piórko wzbiła się w powietrze i poszybowała z domu ponad mniszkami, ostem i fuksją, przez zardzewiałą furtkę, wzdłuż linii brzegowej i do wsi – sekretna wieść o Ellie i jej nowym współlokatorze. Na początku myślano, że mężczyzna wynajmuje pokój i pomaga starej niewidomej kobiecie w domu, odkąd jej wnuczka wyfrunęła z gniazda i, o dziwo, nigdy nie wróciła. Tajemnicza wendeta, na której temat mieszkańcy wsi chętnie snuli domysły, nie zbliżając się jednak nawet do cienia prawdy. Nie mogli zrozumieć związku między dwudziestopięcioletnim Polakiem a siedemdziesięcioletnią kobietą, lecz wyglądało na to, że on przywrócił ją, a ona jego do życia, gdyż mieszkali razem aż do jej śmierci, szczęśliwi, w wielkim domu na skale.

1 *Feis* – tradycyjny festiwal kultury i sztuki gaelickiej.

Potocznie to określenie turniejów tańca irlandzkiego (przyp. tłum.).

Maszyna wspomnień

Dzień jest piękny i ona to mówi. On gwizdże, idąc obok, a ona nuci radośnie piosenkę, którą ktoś grał wczoraj w barze na pianinie i która nie może wyjść im z głowy; melodia trzepocze bez końca jak uwięziony w słoiku motyl. Jej ręka w jego dłoni, jego jest tak duża, że palce oplatają całą jej dłoń, jakby była małym dzieckiem. Ale ona nim nie jest, jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek przyszło mu widzieć, dotykać, czuć. I tak właśnie jej mówi. Ona się uśmiecha, słyszała to już nieraz tego ranka, ale nie irytuje jej to – z każdym nowym komplementem coraz bardziej promienieje. On patrzy, jak słońce spływa po jej blond włosach i ją rozświetla – idealnego anioła. Idą Merrion Square, trzymając się za ręce, słuchając dziecięcych okrzyków radości, które z pobliskiego placu zabaw niesie wiatr.

Patyk ląduje tuż przed ich stopami. On wydaje cienki, ale ostry pisk, lecz po chwili śmieje się z samej siebie. On droczy się z nią. Ona, troszkę zawstydzona, na chwilę kładzie głowę na jego ramieniu. On czuje zapach jej szamponu. Lilia wodna. Głupia ja, mówi ona. On znów obdarza ją komplementem. Jest najmniej głupią kobietą, jaką kiedykolwiek przyszło mu widzieć, dotykać, czuć. Ona znów przyjmuje komplement. Pies przebiega obok nich ścieżką – jasny labrador, duży i niezdarny, jakby jego nogi wcale do niego nie należały, jakby miał na sobie zbyt duże buty. Ona tak mówi i się śmieje. Pies nurkuje w stronę patyka, chwyta go głodnym pyskiem i rusza z powrotem tam, skąd przybiegł.

Odwracają się i patrzą, jak pies pędzi do swojego pana.

Przepraszam, macha do nich mężczyzna. Nie ma problemu, odpowiada ona. Taki piękny dziś dzień, mówi do niego, a on się zgadza. Wszyscy się zgadzają. Idą dalej. Jest połowa lipca, drzewa uginają się od liści i kwiatów, a powietrze wypełnia ich zapach.

Łaskocze go w nos, potęgując katar sienny. Ona podaje mu chusteczkę, chociaż jeszcze nie kichnął. Tak dobrze go zna.

Bierze od niej chusteczkę, śnieżnobiałą, z wyhaftowanym w rogu na różowo monogramem JJ. Prezent od jej matki.

Wydmuchuje nos i rozbawiony oddaje chusteczkę. Ona znowu się śmieje. Linie, które pojawiają się wokół jej ust, przypominają drobne fale na sadzawce po wrzuceniu do niej kamyka.

Delikatne, płynne, naturalne, piękne.

On nie jest ani doktorem, ani naukowcem. Niektórzy uważają go za psychologa, lecz nim także nie jest. Jest jedynie mężczyzną, który kochał i dlatego zdobył bogate doświadczenie, nie z tego powodu, co robi teraz i z czego jest szeroko znany, ale z powodu swojego życia.

Schowana w piwnicy georgiańskiego domu przy Fitzwilliam Square futurystyczna machina w otoczeniu historycznym. Ciemne pokoje, mimo dużych okien, oraz wilgotne i zimne meble, mimo ciągłego ogrzewania. Jego klienci są często zdziwieni, gdy odkrywają to otoczenie.

Nie bardzo wiedzą, czego się spodziewali, jednak na pewno nie tego. Jest czczony przez niektórych, lecz większość denerwuje, gdyż obawiają się, że zanieczyścił to, co jest w świecie najbardziej naturalne – umysł, pamięć. A co wywołało taką dyskusję w świecie, co powoduje, że jedni go kochają, a inni przeklinają?

Urządzenie, maszyna. Nazywają ją maszyną wspomnień. On nie. To umysł wytwarza wspomnienie –

według niego nawet serce, ale nie będziemy w to teraz wnikać – i kiedy już umysł wytworzy wspomnienie, maszyna wkłada je do plików pamięci, jakby było ono równie realne i prawdziwe oraz równie szczerze i niezapomniane jak wszystkie pozostałe. Nowe wspomnienia to wspomnienia, które ludzie chcieliby mieć lub takie, o których zapomnieli i chcą je odświeżyć, jednak niezależnie od tego, jak bardzo pragną je odtworzyć, one i tak nigdy nie będą tymi oryginalnymi. Umysł sam wymyśla wszystko na nowo. Robi to, by przeżyć. Maszyna nie pomogła przeżyć swojemu wynalazcy. Nie, nie pomogła. Utrzymała go przy życiu. Dała mu powód. Coś, czego bardzo mu w życiu brakowało.

Wymyślił ją przez przypadek. Sądzono, że spędził lata, pracując nad tym urządzeniem, aby uciec w ten sposób od rzeczywistości i od tego, co się stało. Nie jest to jednak prawda.

Nigdy nie rozmawiał z nikim o wielkim smutku, który w sobie nosi. Nie wierzy również, że to los przywiódł go tam, gdzie jest.

Nie wierzy w los. Wypadki się zdarzają. Tym właśnie są.

Wypadkami. Dlatego to, że bawiąc się w domu swoimi maszynami i kablami, wpadł na sposób, jak powiedzieć maszynie, by kazała mózgowi stworzyć wspomnienie, to był przypadek.

Po prostu.

Lecz był to bardzo dogodny przypadek. Większość taka nie jest.

Teraz udoskonalił maszynę i klienci przybywają do niego z daleka i z bliska – pozbawione nadziei dusze szukające spokoju umysłu.

On dobrze wie, gdy siedzi przed nim dzień-nikarz.

Widzi to po oczach. Jest w nich pragnienie, takie samo jak u zwykłych klientów, lecz złe.

Dziennikarze są głodni nowin. Choć istnieją też tacy, którzy chcą pisać o nim i o maszynie w korzystnym świetle, większość jednak pragnie zniszczyć to, co zbudował. Ci ludzie nie rozumieją maszyny. Niektórzy się jej boją, lecz większość jest zbyt cyniczna, aby otworzyć się na jej piękno.

Jego to nie obchodzi. Rozpoznaje ich w chwili, gdy przekroczą próg i rozglądają się wokół pytającym wzrokiem – oczy przeszukujące jego, jego dom i jego maszynę jak podczas kontroli przeciwpożarowej. Ich wizyty nigdy nie służą samodoskonaleniu, mimo że każdy z nich mógłby to osiągnąć podczas sesji poświęconej odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak nienawidzą rzeczy, z którymi nie mają nic wspólnego.

Znany jest z tego, że bywa wybredny w doborze swoich gości, odwołuje wizyty z bardzo małym wyprzedzeniem, czasem zamyka drzwi przed nosem niespokojnych przybyszów, gdy tylko ich zobaczy. Potrafi wyczuć nieszczerłość tych, którzy przychodzą tu wyłącznie z ciekawości, tych, którzy chcą jedynie przesłuchiwać, kopiować i zamazywać. Nie chce się maszyną z nimi dzielić. Nie chce, żeby używano jej do złych celów. Mile widziani są ludzie z daleka i z bliska – ci w żałobie, chorzy, zagubieni, rzadkie zbłąkane dusze.

Kilka lat temu zdał sobie sprawę, że zdobył pewną sławę.

Wiść o maszynie rozeszła się szeroko, podobnie jak plotki o jej twórcy; w gazetach pojawiły się opisy, relacje klientów, pełne spekulacji artykuły autorstwa tych, którzy nawet nie zbliżyli się do niego ani do niej czy do jego domu. Zamknął działalność, gdy uzmysłowił sobie, że maszyna stała się modna, był zły, że jego pracę zredukowano do kaprysu. Stworzył maszynę dla ludzi, którzy jej potrzebowali, ponieważ chcieć jej to o wiele za mało.

Okazało się, że gdy ją wycofał, zyskał więcej wyznawców. Lista oczekujących była tak długa jak Griffith Avenue, a każdego dnia przychodziły setki listów, znacznie więcej, niż mógł przeczytać.

Niechętnie zmienił swoje samotne życie, zatrudniając asystentkę.

Dziewczynę, która nazywała samą siebie Judith, lecz on uważał, że jej imię należało do niej tak samo jak ubranie, które miała na plecach. Judith. To był przypadek. Nie wierzył, że kryło się za tym coś więcej... ona nie mogła wiedzieć... ale...

Spotkał ją na Parliament Street, mając za sobą ratusz i jego potrójną fasadę z jasnego kamienia portlandzkiego oraz rzekę Liffey i Four Courts[2] przed sobą. Zmierzał z laską w rękę na kolejną rozprawę sądową, ponieważ ci, którzy nie rozumieli, próbowali przerwać jego działalność. Reprezentował samego siebie, wiedział, co robi; pozostałość po poprzednim zawodzie.

Przeszedł obok niej. Obok Judith. Mała brązowa istotka siedząca na chodniku, szczelnie owinięta brązowym kocem, o ciemnobrązowych przylizanych tłustych włosach i tak piegowatej twarzy, jakby każdy przechodzący obok but chlapnął na nią błotem. Nie miała nawet parasolki, mokra, zimna nawierzchnia pod stopami była śliska, jednak ona tam właśnie siedziała, zdawać by się mogło na jedynym suchym skrawku ziemi w całym Dublinie.

Zatrzymał się obok.

Spojrzała w górę.

– *Sir.*

– Chcesz mój parasol?

– Zmoknie pan.

– Ale to ty mokniesz.

– To nie mój parasol.

– Dam ci go.

– Zmoknie pan.

– Kupię sobie nowy.

Wszedł do sklepu i kupił nowy parasol. Ciemny syntetyczny materiał w brązowo-oliwkową kratkę z drewnianą rączką sprawiał wrażenie, jakby pierwszy podmuch wiatru mógł wywinąć go na drugą stronę.

– Proszę.

Podał jej swój parasol. Był duży, czarny, jedwabny, z uchwytem z prawdziwego srebra.

Orzeł. To prezent. Od osoby, o której nie mówi. O której nie może wręcz myśleć. Nawet przez chwilę nie zastanawiał się nad jego oddaniem. To go zaintrygowało, zmusiło do refleksji, czy przypadkiem w końcu nie wyzdrowiał. Lecz po chwili przypomniał sobie jej twarz, jej zapach, jej dotyk i serce mu załomotało; wiedział, że rana nadal jest otwarta i boli jak zawsze. Ona nie była parasolem; to nie ją oddawał.

- To pański parasol.
- Teoretycznie oba są moje.
- Dlaczego nie da mi pan nowego?
- A dlaczego miałbym to zrobić?
- Ten jest za dobry.
- Zaproponowałem ci ten.
- Ale ten w kratkę jest w porządku.
- To miło z twojej strony, jednak jestem człowiekiem słownym.

Przesunęła ręką po rączce. Wydawała się ogromna w jej małej dłoni.

- Jak masz na imię?

Długa przerwa.

- Judith

Przypadek. To był przypadek. Żaden znak. Nic takiego.

- Życzę ci w takim razie miłego dnia... – Nie potrafił wypowiedzieć jej imienia. Jeszcze nie teraz.

W sądzie argumentował, że psychologia, hipnoza i inne praktyki medycyny alternatywnej także powinny zostać zabronione na podstawie zarzutów o „pranie mózgu”, o które go oskarżano.

Kwestionował Freudowskie teorie podświadomości, mechanizm wyparcia, jego teorię przeniesienia i kliniczną praktykę psychoanalizy, aż nikt nie miał już siły go słuchać. Prał ludzkie mózgi nie mniej niż oni. Wygrał sprawę, o czym się dowiedział dopiero kilka tygodni później.

Następnego dnia wrócił. Nie, żeby ją zobaczyć, ale dlatego że akurat musiał tamtędy przejść. Myślał jednak o niej przez całą noc. Zatrzymał się. Spojrzała w górę.

- Zapomniałaś swojego parasola? – zapytał.
- Właściwie pańskiego parasola.
- Dałem ci go, więc nie jest już mój.
- Nie jest też mój. Sprzedałam go.

Nie żałowała, a on nie uważał, że powinna.

– Nie jest pan zły?

– Był przecież twój, mogłaś z nim zrobić, co chciałaś. Ile za niego dostałaś?

– Pół pensa.

Pokręcił głową.

– Powiedział pan przecież, że mogłam z nim zrobić, co chciałam – rzuciła, broniąc się.

– To prawda. Ale był znacznie więcej wart.

Wzruszyła ramionami.

– Ja potrzebowałam pół pensa.

Sądził, że potrzebowała o wiele więcej.

– Nie masz kubka.

– Czego?

– Kubka. Do zebrania.

– Nie zebrzę.

– To co robisz?

– Siedzę tu.

– Czy ludzie dają ci pieniądze?

– Czasami. Czasem dają mi parasole.

Uśmiechnął się.

– Chciałabyś dla mnie pracować?

– Co bym miała robić?

– Pomagać mi. Odbierałabyś pocztę, czytała listy, umawiała spotkania i tak dalej.

– Dlaczego?

– Nie rozumiem.

– Dlaczego pan mi to proponuje?

– A dlaczego nie?

Znowu wzruszyła ramionami.

– Jeśli jest jakiś powód, dla którego nie powinienem, to mi powiedz.

Zamyśliła się, po czym zmierzyła go od góry do dołu, on zaś zrozumiał, jak musiało wyglądać jej życie do chwili, gdy go poznała.

– Co chce pan w zamian?

– Nic z tych rzeczy. Dokładnie to, co ci teraz powiedziałem.

Przyglądała mu się bacznie przez dłuższą chwilę. Wydawała się wtedy starsza, jej umysł docierał do wspomnień, na podstawie których nauczyła się podejmować decyzje.

– W porządku.

Zacząła zatem dla niego pracować. Ci, którzy widzieli, jak przychodzi i wychodzi z jego mieszkania, założyli błędnie, że jest sprzątaczką. Jej towarzystwo, mimo że płatne, oznaczało koniec jednego aspektu czyścica, który ten stary mężczyzna sam sobie stworzył. Lecz okazało się, że nie żył wcale pustym życiem, gdyż wypełniał je po brzegi duch przeszłości, z którym ona pracowała każdego dnia.

Na początku nie miała pojęcia, czym zajmował się przedtem, lecz z biegiem czasu się dowiedziała, ale nie dzięki zadawaniu pytań. Ani razu nie spytała, czy może skorzystać z maszyny, za co ją podziwiał, ponieważ wyobrażał sobie, że jest w niej wiele wspomnień, które chciałyby zmienić.

Ona nigdy nie zadawała mu pytań, a on nie zadawał pytań jej. Byli po prostu dwojgiem ludzi, którzy robili to, co w danym momencie robili. Rzadko kiedy się odzywali. Ona otwierała listy i, jak się okazało, dosyć szybko poznała jego styl pracy. Któregoś wieczoru, kiedy już poszła po całym dniu, usiadł przy stole i przejrzał listy, które zostawiła z boku. Nazajutrz podjął temat.

– Dlaczego nie umówiłaś spotkania z tym mężczyzną? – spytał.

Nie był zły. Nigdy nie bywał zły. Nie interesowało go, dlaczego ów mężczyzna nie został umówiony; czuł tylko, że odpowiedź na to pytanie dałaby mu jakiś wgląd w działanie jej umysłu.

Nie podniosła wzroku, gdy wieszala na haczyku z tyłu drzwi do kuchni swój za duży płaszcz i stawiała na podłodze (nową) torebkę na ramię. Ostatnio wyglądała o wiele lepiej.

– Nie uwierzyłam mu.

– Ale nie wiesz przecież, o którym liście mówię.

– Wiem. Mężczyzny, którego żona zginęła w wypadku drogowym.

Przełknął ślinę.

– Tak.

– Nie uwierzyłam mu.

Spojrzała na niego przenikliwie, co wytrąciło go z równowagi. Nieznacznie, lecz coś takiego zdarzało mu się nieczęsto. Odwrócił wzrok, przez chwilę czuł się zbity z tropu, lecz jeśli ona nawet to zauważyła, nie dała po sobie poznać.

Otworzyła leżący na biurku duży terminarz, który jej kupił, i przeglądała wszystkie umówione spotkania. On zaś chciał jakoś pokryć oczywiste już zmieszanie i wskazał na przypadkowy list na stole.

– A ta kobieta, dlaczego jej też odmówiłaś? – Zauważył, że lekko drży mu ręka.

Westchnęła.

– Czy będzie pan pytał o każdy list, który odrzucę? Jeśli tak, to nie ma sensu, żebym tu była. Równie dobrze może pan znowu robić to sam.

Przytaknął i wstał. Filiżanka herbaty przed pierwszym spotkaniem tego dnia. Postawił przed nią filiżankę herbaty z trzema kostkami cukru i dużą ilością mleka. Ona wolała pić w kubku, nie w filiżance ze spodkiem, jak on. Kupił jej kubek i był to jedyny kubek w jego domu.

Uważał go za jej własny.

– Ona rozsiewa plotki – powiedziała, upiwszy łyk.

– Czyżby?

– Oczywiście nie czytam tego, ale widziałam przedtem jej stronę. Kobieta z wyższych sfer. Dla niej wszystko jest niezręczne.

– Przybrała wyszukany ton. – Pisze o tym, kto z kim był widziany na popołudniowej herbacie. Nie sądzę, że chciałby ją pan tutaj widzieć.

Potaknął.

– Nie będę cię więcej pytać.

Biuro znajdowało się w kuchni. Judith urzędowała tam od ósmej rano do czwartej po południu każdego dnia. Rzadko wstawiała z krzesła przy stole, grzebała w szufladach i nigdy się nie rozglądała, nie podnosiła nawet głowy znad terminarza. Siedziała na krześle przy stole z listami i terminarzem, jakby to była najsuchsza część pomieszczenia.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Otworzył młodemu mężczyźnie w garniturze – miał podkrążone oczy, staranną fryzurę, był świeżo ogolony; zapach wody po goleniu docierał falami.

Jakiś bankowiec albo księgowy. Zajmował się liczbami i wykresami.

Zdjął kapelusz i najpierw spojrzał dwa razy w lewo i w prawo, zanim wszedł, wyraźnie zdenerwowany, że ktoś może go tu zobaczyć.

Odsunął się od drzwi, aby zaprosić mężczyznę do środka.

– Nazywam się Jack Collins.

– Tak.

Zostawił drzwi otwarte, odwrócił się i ruszył korytarzem.

Jack zawahał się, zastanawiając jeszcze raz nad sytuacją. Jak bardzo musi tu być?

Przyjrzał się pustemu korytarzowi – oryginalne kafelki, niektóre popękane, wytarte, zapach pleśni, którego żadna ilość sprayu i odświeżacza nie była w stanie usunąć, puste ściany; w końcu wszedł do środka.

Wszedł do małego pokoju za starym mężczyzną. Maszyna.

Ta maszyna. Dwa stare fotele.

Kominek. Nierozpalony. Pachniało wilgocią. Było zimno.

– Proszę usiąść.

Starszy mężczyzna już siedział.

Jack znów się zawahał, myśląc nad możliwościami, jakie ma do wyboru. Lecz w końcu usiadł.

Postawił teczkę na cienkim zimnym dywanie i szukał miejsca, w którym mógłby położyć kapelusz. Stary mężczyzna nie zaproponował pomocy, Jack postanowił więc powiesić kapelusz na rączce te czki. Odpiął guzik marynarki, pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach, jakby miał zaraz negocjować umowę i nie chciał, aby kominek go usłyszał. Sprzedawca, zgadywał mężczyzna.

– A więc – odezwał się Jack.

– Umieszczam je tutaj. – Mężczyzna pominął kurtuazyjną pogawędkę i przypiął trzy kable z przyssawkami do skroni i czoła klienta. Oko umysłu. – Proszę zaczynać – powiedział, nie patrząc Jackowi w oczy. Czekał.

– Co mam robić?

– Proszę po prostu opisać wspomnienie najlepiej, jak pan potrafi – kolory, zapachy, dźwięki, miny ludzi wokół. Proszę mówić jasno.

– Jak to działa? – Nagle klient stał się niepewny. Nie samego siebie, lecz maszyny. Szumu, który ją otaczał.

Czy kiedykolwiek miało znaczenie to, jak ona działa? W pierwszych latach stary mężczyzna deliberował nad tym bez końca. To tak, jakby przed uruchomieniem telefonu bezprzewodowego chcieć dowiedzieć się, jak on działa. Albo jakby przed wejściem do samochodu chcieć dowiedzieć się, jak funkcjonuje silnik. To nie ma znaczenia.

– Czy chce pan, żebym wytłumaczył panu, jak działa maszyna, czy chce pan, żeby zadziałała?

Po raz kolejny Jack się zawahał. Patrzył badawczo na starego mężczyznę, nie podobało mu się jego podejście, nie przypuszczał, że to tak będzie wyglądało. Stara maszyna w zawilgoconym, zrujnowanym pokoju ze starym mężczyzną z chipem na ramieniu.

Brakowało w tym magii.

Znowu jednak przypomniał sobie o swoim kłopotcie i się poddał.

Odchrząknął.

– Wyjechałem na weekend. Przynajmniej tak powiedziałem żonie.

Zamilkł, czekając na reakcję. Nie było żadnej. Stary mężczyzna nie obruszył się, nie oburzył, chyba w ogóle go nie oceniał.

– A tak naprawdę nie opuściłem miasta.

Znowu brak reakcji. Westchnął.

– Spotkałem się z kimś. Nigdy wcześniej tego nie robiłem, ale... – głos Jacka załamał się trochę. – Nie mogę spać. Nie mogę jeść. Wiem, że popełniłem wielki błąd. Ale wiem, że nie mogę kłamać, po prostu nie mogę. Za każdym razem, jak na mnie patrzy, wiem, że ona wie. Pyta mnie o ten weekend, ten, w który miałem wyjechać. I ja po prostu zamieram. Chcę zamknąć oczy i sprawić, żeby to zniknęło, chcę widzieć weekend, który powinienem był mieć.

Zawsze brali go za terapeutę. Nie po to tu był.

– Musi pan to wszystko wiedzieć? – spytał Jack; miał oczy wilgotne od łez.

– Nie.

– Dlaczego mnie pan nie powstrzymał?

– Myślałem, że zmierza pan do sedna. Musi mi pan opowiedzieć tylko wszystkie wspomnienia.

– Te, które chcę, żeby znalazły się w mojej głowie?

Stary mężczyzna potaknął.

– I proszę pamiętać, że to nie wymazuje wspomnień, jedynie dodaje nowe. Nie jestem fachowcem od kasowania plików wspomnień.

– Wiem.

Jack przełożył kapelusz na oparcie fotela, sięgnął po teczkę i wyjął z niej jakąś broszurę.

– Tu powinienem być. Konferencja dotycząca sprzedaży.

W hotelu w Kerry. To jest ten hotel. To jest sypialnia. Mają ogromny teren z widokiem na zatokę Kenmare. Spędziłbym tam czas na spacerach. Lubię spacerować. Tamtejszy klimat pozwala na hodowlę roślin podzwrotnikowych. Mają drzewa eukaliptusowe. Powietrze pachnie słodko. Świeżo. – Przełknął ślinę. – Mój kolega opowiedział mi o tym.

Stary mężczyzna gestem wskazał Jackowi, aby kontynuował.

– Konferencja odbywała się w hotelu. Z tym sobie poradzę, to kolejny pokój konferencyjny w kolejnym hotelu. Ale była wycieczka po Ring of Kerry. Moja żona zawsze chciała tam pojechać. Powinienem ją zabrać, ale teraz już nie mogę. Dowie się, że nigdy tam nie byłem. Chociaż może po tym... – Spojrzał na starego mężczyznę, czekając na kolejną zachętę.

Mężczyzna pomógł mu przejść przez bardziej drobiazgowy szczegóły – jak obłoki rzucały cień na góry, jak powietrze pachniało świeżo eukaliptusem, było słodkie od rabarbaru i słone od morza, jak czuł na twarzy słońce, jak wyglądał pokój, jak nie miał pieniędzy, aby dać napiwek mężczyźnie, który przyniósł do pokoju bagaże, jak jego koszula była pomięta, gdy wyjął ją z walizki, bo powinien był włożyć ją do pokrowca, zgodnie z radą żony. Rozmawiali o tym, jak przywiózł jej i dzieciom prezenty nie z Grafton Street w Dublinie, wracając do domu z hotelu położonego w centrum, ale z dworca, na którym czekał na opóźniony pociąg. Jak zadzwonił do żony z basenu w przerwie konferencji, a nie wtedy, gdy kobieta, z którą był, wyszła na chwilę z łóżka w hotelu w mieście.

Gdy Jack skończył, mężczyzna zdjął przyssawki z jego skroni i czoła. Jack zamrugał kilka razy, a następnie znów spojrzał na mężczyznę.

– Mój Boże.

Stary mężczyzna wyłączył maszynę. Jack odetchnął z ulgą. Wyglądał na wesołego, pewnego siebie.

– Zaoszczędziłem na podróży, to na pewno. Mogłem powiedzieć, że byłem na Fidżi.

Mężczyzna wstał, aby się pożegnać.

– To mogła być piękna wycieczka. Tak to brzmiało. Szkoda, że pan na nią nie pojechał.

Uśmiech Jacka zniknął.

Zbliżają się do bramy parku. Z zielonej oazy przenoszą się do betonowego miasta, choć jemu to nie przeszkadza. Dzień jest piękny. Zastanawiają się, czy nawet nie najpiękniejszy w roku.

Idą pod drzewami, ogarnia ich lekki chłód, gdy chowają się przed słońcem. Ją przechodzi dreszcz, a on mocniej ściska jej dłoń, jakby od tego mogło być jej cieplej. Zawsze chce sprawiać, żeby było jej idealnie, nawet gdy wie, że to niemożliwe. Zapach mchu wypełnia jego nozdrza, znów lekko łaskocze. Wilgotną ziemię, do której nie dochodzą promienie słońca, czuć w powietrzu. Jest to orzeźwiająca, i tak właśnie mówią. On usuwa się na bok, aby przepuścić ją w bramie. Ona dziękuje i czeka, aż do niej dołączy.

Patrzą na siebie, przygotowują się do rozstania, a jego żołądek buntuje się, że musi zostawić swoje

marzenie i zająć się pracą.

Dziękuję za ostatnią noc, mówi ona. Jest teraz trochę zawstydzona, przeciwnie niż ostatniej nocy. Uwielbia to w niej, ale nic nie mówi. Nie chce, żeby czuła się zmieszana.

Umawiają się na spotkanie dziś wieczorem. Może kolacja w Shelbourne. Tak. To by było miłe. Może wczesną nocą. Ona śmieje się znowu, już bez cienia wstydu. Oczywiście, moja droga. Oczywiście.

– Niewierny mąż – powiedział do Judith, gdy Jack Collins wyszedł.

Nie podniosła głowy.

– Kocha swoją żonę – odparła znudzonym tonem.

To znudzenie było sztuczne. Wiedział, że ją to obchodziło.

– Tak też powiedział – westchnął.

– Nie uwierzył mu pan?

– Uwierzyłem.

– Ale nie pochwała go pan?

Nie chciał odpowiedzieć. Nie powinien oceniać swoich klientów. Zazwyczaj tego nie robił.

– Każdy zasługuje na drugą szansę – stwierdziła.

– Nie zajmuję się pomaganiem ludziom w kłamstwach.

W tym momencie uniosła głowę. Zobaczył w jej oczach wątpliwość.

– Tworzenie nowych wspomnień to nie kłamstwo – rzekł ze zbyt dużym naciskiem. – Ta wizyta była błędem – przyznał tym razem łagodnie.

– Okej. – Wzruszyła ramionami.

Usiadł z Judith. Jedli kanapki z serem, a ona kontynuowała czytanie listów. Patrzył na nią, ale próbował to ukryć. Nie był w stanie rozgryźć, czy jest pod wrażeniem jakiegokolwiek listu, na który rzucała okiem. Wyraz jej twarzy się nie zmieniał.

Podzieliła listy na dwie kupki. Usiłował zgadnąć, która jest która. Skończyła kolejny list, ugryzła kęs kanapki i położyła kopertę na kupce po lewej. Nadal nie był w stanie zgadnąć, jakie listy na nią odkłada.

Nigdy ze sobą nie rozmawiali, ale nie czuli się niezręcznie.

Ich niedawna rozmowa o Jacku była najdłuższa i najbardziej ożywiona. Zdał sobie wtedy sprawę, że on, który spędził ostatnie czterdzieści jeden lat w samotności, nawet lubi towarzystwo Judith.

Uświadomił sobie, że każdego ranka czeka na jej przybycie i że parę godzin po jej odejściu czuje... tęskni za nią. Dom znów był pusty. Wydrążony jak drzewo. Wydawało mu się teraz, że zawsze czekał, zawsze był pełen wyczekiwania, że ktoś się pojawi, że coś się zdarzy. Od dawna już tego nie czuł. Przestał żuć i odłożył kanapkę.

Nie spojrzała na niego.

– Co?

Rozerwała kopertę.

Nic nie powiedział.

Wyglądała na trochę speszoną.

– Próbuję zgadnąć, która kupka listów jest tą wyjątkowo cię poruszającą.

Spojrzała na niego, wiedząc, że to żart. Dotknęła palcem kupki po lewej.

– Ta.

Uśmiechnął się. Nie zgadłby, ale dobrze się poczuł. Może niezupełnie ją nudzi. Spojrzał na zegarek; zawsze zostawiał godzinę między wizytami. Odbywał jedynie dwa spotkania dziennie, czasem jedno, w zależności od wspomnienia. Powrócił do maszyny.

– Minęło dwadzieścia pięć lat, odkąd zmarł – powiedziała pani de Lacey z szyją wygiętą w łuk jak u łabędzia i skórą rozciągającą się i napinającą na jej mięśniach. Perły naszyjnika zanurzyły się w zagłębieniach wyciągniętej szyi. Kobieta próbowała robić wrażenie silnej, jednak on bez trudu wyczuł, że serce jej szaleńczo łomocze.

– Pamiętam sporo, wiele rzeczy, które razem robiliśmy, które powiedział, ale... – W tej chwili mur, za jakim się kryła, zaczął się kruszyć. Jej szyja stała się krótsza, skóra straciła sprężystość, a ramiona opadły. Kobieta szlochała i sprawiała wrażenie, jakby zapadała się w sobie.

– Mamusiu. – Córka dotknęła ręki matki, zaskoczona i zażenowana tym pokazem emocji.

On się nie odzywał.

Młoda kobieta spojrzała na niego z zakłopotaniem, jakby licząc na to, że on będzie w stanie powstrzymać fontannę łez tryskających z oczu matki.

– Ale jego twarz... – kontynuowała klientka, teraz już na dobre szlochając i wyrzucając z siebie słowa, czy komuś się to podobało, czy nie. – Jego twarz, gdy zamknę oczy... – Opuściła powieki. – Nie mogę go zobaczyć. Nie mogę.

– Mamusiu, przestań już. O czym ty mówisz? Opanuj się – mówiła córka z rozpalonymi policzkami.

– Jest zamazany. – Z oczu kobiety nieustannie płynęły łzy.

– Widzę go, ale nie z bliska, niedokładnie, poza tym on ciągle się zmienia. Zmienia się jego wiek, jego wyraz twarzy. Nie mogę uchwycić jednego konkretnego wspomnienia, jednego idealnego momentu.

Córka grzebała w swojej torebce.

– Proszę, mamusiu. – Wcisnęła chusteczkę w roztrzęsione dłonie matki. – Twój nos – zwróciła jej uwagę z nutką obrzydzenia.

– Wiem, jak wyglądają jego oczy, usta. – Pani de Lacey dotknęła zmysłowo swoich warg.

Córka odwróciła wzrok zszokowana, jeszcze bardziej zawstydzona. – Ale nie mogę zobaczyć go w całości. To tak, jakbym patrzyła ze zbyt małej odległości, muszę odsunąć się trochę, aby ujrzeć cały obraz.

Zacisnęła mocno powieki. Po chwili znów je uniosła, zawiedziona, że go nie widzi.

Po raz pierwszy spojrzała na starszego mężczyznę.

– Chcę mieć pamiętać go w każdej chwili, kiedy zechcę. On jest wszystkim, co mam.

– Mamusiu. – Twarz córki posmutniała. – Masz nas.

– Oj, nie bądź śmieszna, Lizzie, przecież kłóćcie się, kto ma ze mną pójść na lunch, nie dlatego że każde z was tak bardzo ma na to ochotę. To jest jedyne miejsce, gdzie jeszcze go mam – powiedziała, mocno wbijając palec w swoją skroń, w szorstką, starą skórę, jakby gasiła cygaro.

– Ale go tracę.

Lizzie chrząknęła.

– Mam jego zdjęcie.

Wziął je. Imponujące czarno-białe zdjęcie przedstawiało mężczyznę z nadwagą, w monoklu, z dłońmi złożonymi na kolanach, patrzącego zimno w obiektyw. Na ścianie za nim wisiała głowa jelenia.

– To nasz domek myśliwski – wyjaśniła z dumą córka.

– Nie, nie, nie. – Pani de Lacey machnęła ręką, jakby odganiała osę. – To nie on.

– Mamusiu, to zdjęcie zostało zrobione tuż po tym, jak został prezesem klubu krykieta.

Wiem to, no zobacz, jego kłapa...

– Nic mnie nie obchodzi jakiś cholerny klub krykieta ani domek myśliwski – prychnęła kobieta, jej córka zaś znów wydała się zszokowana albo wręcz urażona. – Chcę pamiętać go takim, jakim był rano, gdy tylko otworzyłam oczy. Chcę go widzieć takiego, jaki był, gdy się kochaliśmy. – Przymknęła powieki, rozkoszując się wspomnieniem.

– Mamusiu – zaprotestowała córka, lecz po chwili złagodniała, jakby nagle ujrzała w matce kobietę.

– Jak wziął na ręce Ellisa tuż po urodzeniu, jak bawił się z dziećmi w ogrodzie. Jak jego nozdrza drgały, gdy był zły.

– Roześmiała się. – Niby wiem to wszystko o nim, ale kiedy zamykam oczy, już nic nie widzę.

Umieścił przyssawki na jej skroniach i na czole, przyłączył przewody do maszyny.

Uruchomił ją.

– Proszę więc namalować mi obraz. I właśnie to pani zobaczy.

Przezesuje palcami jej włosy, są lekko kręcone i miękkie jak aksamit, jego palce gładko się przez nie prześlizgują. Słyszy, jak ktoś woła go po imieniu. Jego kolega zbliża się z prawej strony.

Pozdrawia go.

Ona mówi, że zobaczą się później. On jest trochę dezorientowany, ale nie protestuje.

Szybko muska wargami skórę jej palców. Jest ciepła i delikatna. Ona pospiesznie cofa dłoń, aby nie zawstydzić go przy koledze, i odchodzi. On zwraca się w stronę kolegi, by się przywitać.

Zaczynają omawiać sprawę, która zajmuje urząd od wielu miesięcy. Słyszy, jak ona znów woła do niego do widzenia, lecz jest pochłonięty rozmową. Ona zrozumie, zobaczą się później. Słyszy odgłos. Przerazający odgłos. Odgłos, którego nigdy nie zapomni. Nigdy nie zapomni. Kolega chwyta go za rękę tak mocno, że czuje, jak paznokcie wbijają mu się w skórę przez letnią marynarkę. Wie, ale nie może patrzeć. Nie chce na całe życie zapamiętać tego widoku, bo wie, że będzie widział go codziennie. Budząc się i zasypiając. Każdego dnia.

Gdy Judith pojawiła się w jego domu następnego ranka, brązowe włosy zakrywały jej twarz. Patrzyła w dół, aby nie napotkać jego wzroku. Z opuszczoną głową brnęła obok niego w stronę kuchni. Utknęła przy drzwiach, gdy zobaczyła stół. Po raz pierwszy zrobił śniadanie.

Uczta składająca się z kielbasek, jajek, pomidorów, puddingów – białego i czarnego – grzybów różnej wielkości. Na środku stołu patera z tostami przyprawionymi wszystkim, co można sobie wyobrazić. Po prostu nie chciał, żeby musiała o cokolwiek prosić.

Zachwiała się, więc podbiegł, aby ją podtrzymać, lecz jej mała różowa dłoń wyłoniła się ze zbyt dużego płaszcza i chwyciła się framugi. Zobaczył to w chwili, gdy się obróciła. Jej lewe oko było mocno podbite i tak opuchnięte, że nie dało się go nawet dojrzeć. Skóra wyglądała jak zgniła brzoskwinia. Dostrzegła jego twarz, ten wyraz w jego oczach i znów szybko się odwróciła.

Kipiał z gniewu. Takiego gniewu nie czuł od czasu Judith. Jego Judith. A teraz ta Judith.

Jego Judith, uzmysłowił sobie. Zacisnął mocniej dłoń na lasce, aż pobieleły mu kostki.

Chciał powiedzieć mnóstwo rzeczy – krzyknąć, spytać, kto jej to zrobił. Było w nim tyle uczuć i pytań, że musiał zastanowić się chwilę, co powinien powiedzieć na początek. Jeden fałszywy ruch i już jej nie będzie. Jest tak wrażliwa, a jej obecność tak cenna, ale jednocześnie lekka jak piórko, wystarczyłby delikatny wiaterek, by mu ją zdmuchnąć. Zdołał się trochę uspokoić.

Opuściła go furia i czuł teraz, jak drży w środku.

Odchrząknął, aby móc coś powiedzieć, lecz ona go powstrzymała. Jej różowa dłoń raptownie przecięła powietrze, by zatrzymać go niczym kierujący ruchem policjant. Rękaw płaszcza zsunął się, ukazując ślady na nadgarstku. Pożółkłe czarne siniaki rozsiane na przedramieniu.

– Nie rób tego – rzuciła.

Jej głos był bardziej stanowczy niż kiedykolwiek przedtem.

Nie zrobił.

Wiedział, że nie zrobi.

Nie zaryzykowałby jej utraty.

– Nie pytaj – powiedziała. – A ja nie będę pytać, dlaczego ty zrobiłeś to dziś rano.

Nagle ogarnął go wstyd, ale zrozumiał. Skinął głową, zdając sobie sprawę, że odwrócona tyłem nie może go widzieć, lecz jej słowa nie były pytaniem i nie wymagały odpowiedzi.

Usiedli przy stole, jego poranny radosny nastrój zniknął, zaczęli jeść w ciszy. Ona nie zjadła wiele. On także.

Przybył pierwszy klient. Osiemnastoletni chłopak, którego, jak twierdził, nienawidził ojciec. Chciał odzyskać wspomnienia, jak spędza czas razem z ojcem, tak by patrząc na niego, nie czuł smutku z powodu tego, co traci i już stracił. Ojciec na trybunach podczas jego meczu piłki nożnej, ojciec wiwatujący, gdy strzelił decydującego gola. Ojciec uśmiechnięty, gdy syn opowiedział żart.

Żadnych nowych rozmów, nic dramatycznego ani nadzwyczajnego. Jedynie wspomnienia z ojcem, który jest.

Obecny i uważny.

Bał się, że następnego dnia ona nie wróci, ale wróciła. Jak zawsze ubrana w zwyczajną sukienkę, jednak ta miała długie rękawy, wysoki kołnierzyk i guziki na plecach, by zakryć to, co zobaczył poprzedniego dnia. Za późno. Już zawsze będzie to widział. Za każdym razem, gdy zamknie powieki. Skóra wokół jej oczu przebarwiła się jeszcze bardziej. Przez wiele tygodni wszystko powracało do tego, co było wcześniej, tyle że już nigdy takie nie było. Ich świeża, idealna koegzystencja została skażona.

Kiedyś, późną nocą, ona pojawiła się w jego drzwiach, zgięta w pół i kaszłąca, lała się tyle krwi, że nie widział nawet, skąd wypływa.

Nie pozwoliła mu zadzwonić po policję ani zawieźć się do szpitala. Nie pozwoliła nawet pomóc sobie w doprowadzeniu się do porządku. Chciała zrobić to sama, potrzebowała jedynie miejsca. Zamknęła się w łazience i siedziała w niej przez godzinę; szum lejącej się wody i co jakiś czas plusk były oznaką, że jeszcze żyła.

Otworzyła drzwi ubrana w jego koszulę; wyglądała jak małe dziecko w za dużym podkoszulku w paski. Spała w jego łóżku, on zaś spał – lub nie – na kanapie. Nie rozmawiali o tym, choć on to na sobie wymusił. Parę dni później przyszła do niego.

– Możemy porozmawiać?

– Oczywiście. Mam teraz wizytę. Mogłabyś poczekać w kuchni?

– Ma pan wizytę ze mną. – Usiadła przed nim w fotelu.

On nagle zamarł.

– Nic panu nie powiem – rzekła.

Skinął głową tylko raz, nie ufając sobie na tyle, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Wiem, że nie jest pan psychiatrą. Wiem, że nienawidzi pan, jak ludzie coś panu opowiadają.

– Ty jesteś inna.

Uśmiechnęła się smutno.

– Oto moje wspomnienie. To, które chcę mieć. Dzień, w którym tu przyszłam.

Wiedział, o którym dniu mówiła.

– Otwiera pan drzwi, jest pan szczęśliwszy niż kiedykolwiek, odkąd pana poznałam.

Jestem zaintrygowana, ale się uśmiecham.

Pański uśmiech jest tak szeroki, że aż zaraźliwy. Cieszy się pan, widząc mnie uśmiechniętą. Dzień dobry, Judith, mówi pan. Ja mówię, że mam na imię Mary.

Patrzyła na niego w skupieniu, w jej oczach błyszczały łzy.

Mary, pomyślał, co za piękne imię.

– Mary, mówi pan, jakie to piękne imię. Ja panu dziękuję.

Prowadzi mnie pan korytarzem, bierze ode mnie płaszcz, zawsze dżentelmen, i wskazuje pan na kuchnię. W chwili gdy otwiera pan drzwi, uderza mnie zapach. Jest to najpiękniejszy stół zastawiony jedzeniem, jaki w życiu widziałam. To coś najmiłszego, co ktokolwiek dla mnie zrobił. Odwracam się, aby na pana spojrzeć, i dziękuję. Mówię panu, że jest to najpiękniejszy zapach, najpiękniejsza zastawa, coś najmiłszego, co ktoś dla mnie kiedykolwiek zrobił.

– I jesteś bardzo szczęśliwa.

– Siadamy i jemy. Ja zjadam wszystko, bo wszystko jest pyszne i chcę dać panu do zrozumienia, że doceniam to, ile czasu spędził pan na przygotowaniu tych smakołyków. Mówię panu, że to najpyszniejsze jedzenie, jakie kiedykolwiek miałam w ustach.

– I jesteś tak bardzo szczęśliwa.

– Potem pan czyta gazetę i rozmawiamy o najnowszych wiadomościach. Proszę, aby mi pan coś objaśnił, nie dlatego, że nie rozumiem, lecz dlatego, że chcę usłyszeć pański głos. Bo kocham brzmienie pańskiego głosu. Bo jest to najtrwalsze i najbezpieczniejsze, co w życiu słyszałam.

W jego oczach wzbierają łzy.

– Mówię to panu, a pan zaczyna płakać. A potem pytam o maszynę, o to, jak ją pan zrobił.

Lecz nie pytam dlaczego, mimo że zawsze chciałam wiedzieć. Mogę zgadnąć. Słyszałam różne historie o tym, co się stało, ale nie wierzę w nie. Nie pytam pana dlaczego, bo teraz już rozumiem. Już wiem dlaczego. Bo wiem, jak chwila może przeminąć – jak bardzo człowiek chce coś komuś powiedzieć albo coś zrobić, ale coś się wydarza, i już się nie da, i potem ma się ochotę wybuchnąć, bo się tego nie zrobiło. Wiem, że denerwuje pana, gdy przychodzą tu ludzie i chcą stworzyć sobie głupie wspomnienia, na przykład tego, jak zostali słynnymi sportowcami albo jak zdradzali żony z ładniejszymi kobietami. Nie o to w tym chodzi. Chodzi o naprawienie danej chwili, żeby była taka, jaka powinna być, gdyby nic człowieka nie rozproszyło, gdyby nie był tchórzem albo gdyby miał świadomość, że ta utracona chwila była jedyną, aby powiedzieć lub zrobić to, co się chciało. Ale nie mówię tego panu wtedy, bo pan wie, że ja wiem.

Rozmawiamy o wizytach. Jemy kanapki z serem. Przed wyjściem dziękuję panu za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Przytulam pana. Ciepłej, łagodniej – bezpieczniej – niż kiedykolwiek kogoś przytuliłam, i wiem, że będzie mnie pan chronił przed wszystkim.

On przytakuje.

– A potem wracam do domu. Szczęśliwa. Pan patrzy, jak wychodzę. Szczęśliwy. I oboje wiemy, że wszystko będzie dobrze.

Zamilkła. Łzy spływają po twarzach obojga. Ona zdejmuje przyssawki z głowy, wstaje, bierze płaszcz i torbę, wychodzi.

Drzwi zatrząskują się za nią. On podąża wzrokiem za jej butami idącymi po metalowych stopniach w górę. Jedyne, co słyszy, to pomruk maszyny. Nigdy więcej jej nie zobaczy.

Przyczepia przewody do swoich skroni i do czoła.

Przeczesa jej palcami jej włosy, są lekko kręcone i miękkie jak aksamit, jego palce gładko się przez nie prześlizgują. Słyszy, jak ktoś woła go po imieniu. Jego kolega zbliża się z prawej strony. Pozdrowia go.

Ona mówi, że zobaczą się później. On jest trochę zdezorientowany, ale nie protestuje.

Szybko muska wargami skórę jej palców. Jest ciepła i delikatna. Ona pospiesznie cofa dłoń, by nie zawstydzić go przy koledze, i odchodzi. On zwraca się w stronę kolegi, by się przywitać.

Zaczynają omawiać sprawę, która zajmuje urząd od wielu miesięcy. Słyszy, jak ona znów woła do niego do widzenia, lecz jest pochłonięty rozmową. Przeprasza kolegę i mówi, że musi się z nią pożegnać. Kolega jest trochę zdziwiony, ale czeka. On podnosi głowę, ona się odwraca i ich oczy się spotykają, ona się uśmiecha. On uśmiecha się w odpowiedzi. Ostatnie potwierdzenie ich miłości.

Słyszy odgłos. Przerazający odgłos. Odgłos, którego nigdy nie zapomni. Nigdy nie zapomni. Kolega chwyta go za rękę tak mocno, że czuje, jak paznokcie wbijają mu się w skórę przez letnią marynarkę. Wie, ale nie może patrzeć. Nie chce na całe życie zapamiętać tego widoku, bo wie, że będzie widział go codziennie.

Budząc się i zasypiając. Każdego dnia.

To nie wspomnienie musi się zmienić, bo było prawie idealne. Był to najbardziej idealny dzień w jego

życiu, aż do tej chwili. Ale Mary ma rację, jedynie to, czego żałuje, co gryzie go od środka, sprawia, że przeżywa to w kółko, tysiąc razy dziennie.

Gdyby tylko podniósł wzrok, gdy go zawołała. Uśmiechnęliby się, ona zobaczyłaby miłość w jego oczach po raz ostatni. Koń i dorożka i tak by ją potrąciły. Koń przestraszył się czegoś innego.

Wierznął. Nie może zmienić wszystkiego, co stało się każdemu człowiekowi tamtego dnia w okolicach placu. Nie może przywrócić jej do życia w swojej głowie, nie miałoby to sensu. Ale to ostatnie spojrzenie, właśnie je chce zmienić. Był to ich jedyny błąd tamtego dnia. Wypadek... To był błąd kogoś innego. Wtedy wszystko byłoby w stu procentach idealne – aż do tej chwili.

Wyłącza maszynę. Szum milknie. I nie ma nic.

2 Główny budynek sądu w Dublinie (przyp. tłum.).

Podziękowania

Dziękuję mojej rodzinie, Marianne Gunn O’Connori cudownemu zespołowi HarperCollins, w szczególności moim redaktorkom Lynne Drew i Kate Burke.